



Dziś w numerze: ● Górnictwo bez pióropusza czyli zawal w kopalniach (3) ● Mińsk — raczkujące centrum polityki (4) ● Czy pakt słowiański jest realny? (8—9) ● Urbankowski o Kołakowskim Rozdwojona logika czy moralność (10—11) ● PZPR-AK problem, który nie odchodzi (12)

Opinie

Nr 38

29 listopada 1990

Cena 1800 zł

Elekcje

Temat Zastępczy

„Pogrobowcy polskiego faszyzmu, chwalczy napiętnowanych przez historię rządów szlacheckich i kapitału, emigranczy bez idei, bez ojczyzny, cała ta skłócona zgraja najmitów amerykańskich powtarza w kółko ten sam motyw: projekt naszej konstytucji jest naśladownictwem konstytucji radzieckiej. Obrazuje to wyjątkową wprost obłudę i tępotę amerykańskich najmitów. Jest bowiem rzeczą jasną, że jako kraj budującego się socjalizmu korzystamy z olbrzymiego dobroku kraju, w którym socjalizm zwyciężył (...) Dla każdego uczciwego człowieka jest rzeczą oczywistą, że rozgromienie najęźdźców hitlerowskich stworzyło warunki dla zdobycia przez nas niepodległości (...)” — stwierdził Bolesław Bierut w referacie wygłoszonym na posiedzeniu Sejmu Ustawodawczego w dn. 18 lipca 1952 r.

Konstytucja z 1952 r. obowiązuje nadal. Próbowano ją modyfikować licznymi poprawkami, tak aby zmiany prawne odpowiadały zmianom politycznym. Jako że zmiany polityczne nie dotyczyły podstawowych zasad konstytucji określających ustrój państwa, tak też zmiany prawne nie musiały być głębokie. Wystarczyły poprawki a z czasem poprawki do poprawek.

Prawne podstawy paranoi

W ubiegłym roku, po wyborczym pyrrusowym zwycięstwie „Solidarności” tzn. po wyborach parlamentarnych okazało się, że wreszcie odzyskałyśmy niepodległość. Za rządów Mazowieckiego „na gruzach PRL odrodziła się Rzeczypospolita”. Okres Polski Ludowej uznano za zły i gnuśny. Stwierdzono, że nie był to okres, w którym Polska była niepodległa, gdyż wówczas panował totalitaryzm a władza ograniczała prawa obywateli czerpiąc korzyści do swojej uprzywilejowanej pozycji. Podstawą prawną istnienia PRL była konstytucja z 1952 r. Podstawą prawną istnienia dzisiejszej niepodległej Rzeczypospolitej jest także ustawa zasadnicza z 1952 r. Można się oburzać, że zarzut ten jest demagogiczny gdyż ilość poprawek wprowadzonych do konstytucji całkowicie ją zmieniła; co z kolei



Po wiatrach historii
posprzątać muszą maluczcy

FOL-MICHAŁ-KULAKOWSKI

dokończenie na str. 2

Nr indeksu 368032

dokończenie ze str. 1

stworzyło podstawę prawną dla przemian w Polsce. Od tamtego czasu powołano: Trybunał Konstytucyjny do czuwania nad przestrzeganiem praworządności, Trybunał Stanu dbający o nienaruszanie prawa przez osoby piastujące najwyższe funkcje państwo-

w 1952 r., ale... można się doszukać wielu analogii w zakresie braku poczucia rozsądku i logiki. Czy można zbudować demokrację na niedemokratycznych podstawach? Czy można wciskać społeczeństwu brednie o osiągnięciu niepodległości? Przecież Bie-rut także twierdził, że Polska odzyskała niepodległość. Czy można mówić o demokracji na 35%? W ten spo-

Polacy są zmęczeni...

Wmawianiem im, że tak w gruncie rzeczy jest wszystko w porządku, tylko jeszcze trochę trzeba poczekać, trzeba być cierpliwym, trzeba ponosić wyrzeczenia, trzeba dać rządowi szansę. Jaką szansę? — pytają zdezorientowani. Co my będziemy z tego mieli? Jeszcze bardziej puste kieszenie? Jeszcze bardziej skomplikowane usta-

wie? Na to pytanie trudno znaleźć odpowiedź.

Dlaczego głosowali na Cimoszewicza? Przecież on też był de facto do wyborów niezany. Coca-cola lewicy? Użalanie się nad kobietami? Haselka zamiast programu? Oddali głos na Cimoszewicza, bo jest najmłodszy, a więc najbardziej energiczny? Oddali głos w niepodległej Polsce na przedstawiciela starej PRL? Może ona faktycznie była niepodległa? Może tylko nieliczni kradli i łamali prawo, a pozostali tylko chcieli się dobrze w życiu urządzać? Przecież spryt i zapobiegliwość nie jest naganna! Kontekst okazał się mało ważny.

Głosowali na Bartoszcze, bo polska polityka rolna nie istnieje. On jeden zna dobrze problemy wsi. Czy to wystarczyło aby oddać na niego głos?

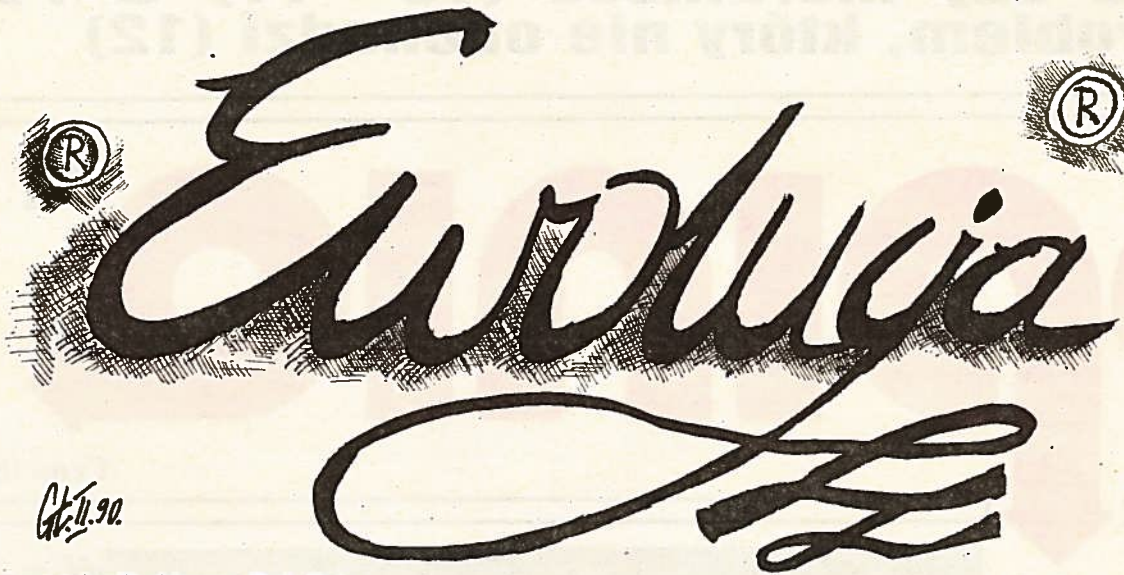
Kampania niekompetencji

Programy wyborcze były króciutkie, posiekane w kawałki i sprzedawane codziennie, aż do znużenia w migawkowych odcinkach. Co można było powiedzieć w ciągu pięciu, dziesięciu minut? Wyjaśnić program wyborczy? Trzeba było wybierać drugą opcję — odwołać się do emocji, do symboli, okazać zainteresowanie sprawami, które są trudne. Ale czy tak wyglądają wybory programów? Gdzie jest taki drugi, demokratyczny kraj, w którym kampania prezydencka trwa zaledwie miesiąc? Wałęsa mówił: „*Weźcie Polskę w swoje ręce*”, ale de facto nie wyjaśniał jak to zrobić. Jak np. zwiększyć faktyczną władzę samorządów lokalnych, duszonych starymi przepisami. Opowiedział się za przyspieszonym programem Balcerowicza, a Mazowiecki za zwolnionym. Sztab Mazowieckiego w ramach prezentacji programów dyskutował na temat języka, którym się posługuje Wałęsa, na temat łapania pcheł, oskarżał Wałęsę o to, że kandydując „*rozwała Polskę*”. Sztab Wałęsy nie pozostał dłużny.

Dyskusję przedstawicieli sztabów wyborczych kandydatów bezlitośnie obnażył brak spójnych koncepcji politycznych, brak programów zwłaszcza w dziedzinie polityki zagranicznej i gospodarki, niezrozumienie pojęcia państwa prawa. Ukonkretniając, nie były to koncepcje, które mogłyby dać poczucie, iż w przypadku ich realizacji powstanie Polska silna i praworządna. Oczywiście, pakowanie wszystkich do jednego worka jest trochę niesprawiedliwe. Niewątpliwie koncepcja państwa prawa zaprezentowana przez sztab Wałęsy i sztab Moczulskiego (a jakże czasami jesteśmy jednomyślni) była jedyną możliwą do przyjęcia ale... Czy Wałęsa będzie realizował tę koncepcję? Dlaczego pozostali przedstawiciele sztabów robili wszystko, aby uciec w dyskusji od tego, arcyważnego przecież tematu? Dlaczego przedstawiciel sztabu Tymieńskiego tylko raz wziął udział w dyskusji? A może — nie bardzo wiedział, co można powiedzieć o polskiej polityce zagranicznej, o Polsce prawa...?

Za parę miesięcy czekają nas nowe wybory. Prawdopodobnie! Czy znów będziemy głosować za symbolami, za demagogią, za prymatem polityki nad prawem, za sfalszowaną demokracją, w której nie będą mogli zwyciężać najlepsi — bo nie umiemy rozpoznać kto jest najlepszy. Czy przyszedł rząd będzie się składał z fachowców niezależnie od tego jakie są partie? Czy jest to możliwe, aby najważniejszą sprawą dla wszystkich stała się naprawa silna Polska, której uda się rozstrzelać większość naszych paranoi? Mądrość wyboru wiąże się z odpowiedzialnością. A może są to wciąż tylko pobożne życzenia?

KATARZYNA PIETRZYK



Temat zastępczy

we, ostatnio zlikwidowano Radę Państwa, przekazując jej kompetencje prezydentowi, a także zezwolono na rozwój demokracji lokalnej tj. samorządów. Pozornie wszystko jest w porządku. Jak za dawnych dobrych lat polityka rządzi prawem i czuwa, aby przypadkowo jej nie ograniczyło.

Poprzedniczka konstytucji z 1952 r. tzw. „Mała Konstytucja” z 1947 r. została opracowana po rozprawieniu się z opozycją, która nie miała ochoty na socjalistyczną praworządność. Konstytucja z 1952 r. stabilizowała socjalistyczną praworządność. Zniosła werbalnie instytucję prezydenta i powołała Radę Państwa, a jej przewodniczącego obdarzyła kompetencjami iście prezydenckimi. W tym czasie mówiono o tzw. prezydenturze kolegiatnej, która została umocniona uznaniem za zasady prawne względów politycznych.

Zarówno w Polsce jak i w innych krajach socjalistycznych doszło do unii personalnej między przewodniczącym Rady Państwa a przywódcą partii rządzącej. W NRD-owie względy polityczne całkiem jasno i wyraźnie zostały wpisane w materię regulacji prawnej ustawy zasadniczej. Konstytucja NRD stanowiła, że „*kandydata w wyborach przewodniczącego Rady Państwa przedkłada najsilniejsza frakcja Izby Ludowej (nowela z listopada 1974)*”. W jaki sposób zostawano wówczas najsilniejszym, nie trzeba chyba nikomu przypominać. Niewątpliwie jednak powstał stan faktyczny trudny do wyjaśnienia w świetle przepisów konstytucyjnych, które usiłowały przekonywać o panującej demokracji. W praktyce nastąpiło ograniczenie regulacji konstytucyjnej na rzecz zwyczaju konstytucyjnego. Sejm był ciałem fasadowym niemal całkowicie ubezwłasnowolnionym i to podwójnie. Raz ze względu na demokratycznie totalitarny sposób wyboru posłów, dwa ze względu na posiadane uprawnienia. Demokracja politycznie totalitarna, przypieczetowana poprawkami sprowadzającymi prawo a w jego ramach także wymiar sprawiedliwości do roli atrapy (np. art. 60 poprawki do konstytucji stwierdzający, że sędziów powołuje i odwołuje Rada Państwa, co oczywiście było gwarantem sędziowskiej niezależności.)

Niewątpliwie dzisiejsza konstytucja różni się znacznie od tej ustanowionej

sób, zaiste diabelski i doskonały, deprecjonujemy pojęcie demokracji. Polityka nadal dominuje nad prawem, skoro układ polityczny podpisany w Magdalence określa podstawy funkcjonowania państwa.

Jak uciec od paranoi?

Odpowiedź na to pytanie jest dosyć prosta — zmienić podstawy funkcjonowania państwa. Jednak realizacja tego zadania jest — znów ze względów politycznych — niezmiernie trudna. I tu pojawia się następne pytanie: komu ma służyć polityka?

Zaspokajaniu własnych ambicji przywódczych, zabezpieczeniu własnych partykularnych interesów czy też winna służyć społeczeństwu? Niewątpliwie, zgodnie z logiką, należałoby wybrać tę drugą koncepcję i dążyć do jej zrealizowania. Podobno właśnie tę koncepcję realizujemy już od roku. Skoro tak, dlaczego więc Polacy czują się oszukani. Mówią: po co nam demokracja jeśli i tak nie rokuje ona nadziei na poprawę sytuacji materialnej? Komuniści nie są już przewodnią siłą narodu, pochowali się po kątach, to nie oni rządzą, a jednak... coś jest nie tak. Kto ma rację? Kto jest odpowiedzialny za niskie płace, za kosmetyczne zmiany? Wczorajsza opozycja. Stąd wniosek, że polityka nie zna uczciwości, że zyskać może tylko ten, komu się uda dorwać do władzy, która kojarzyć się nam zaczyna jedynie z wymiernym, osobistym zyskiem a nie z wielką odpowiedzialnością.

„*Gdybym nie był głupi i startował z listy Solidarności, to dziś miałbym dietę w wysokości 2,5 mln zł. a po przejściu na zawodowstwo, jeszcze dodatkowe 5 milionów. Byłem idealistą i to mój największy błąd.*” — mawiają niektórzy. Strach pomyśleć, że tego typu stwierdzenia są jednostkowo nawet prawdziwe. Kryterium fachowości całkiem ignorowane, uznaje się, że fachowiec to idealista, marzyciel, który jeszcze ma całkiem nieuzasadnioną nadzieję, że jego wysiłek, nieabstrakcyjna uczciwość będzie lepiej premiiowana niż dokonania kolegów domagogów.

wy? A może pakiet akcji, z którymi nie wiadomo co zrobić i jak sprzedać, żeby po raz kolejny nie dać się oszukać?

Kampania prezydencka, wybory prezydenta wprowadziły pewne ożywienie nastrojów, znów obudziły nadzieję. Tylko, że tym razem ta nadzieja jest całkiem zdezorientowana. W gruncie rzeczy niewielu jest do końca przekonanych, że stawiając krzyżyk przy nazwisku tego lub innego kandydata dokonują słusznego wyboru. Świadczy o tym sposób umotywowania wyboru — Głosowałem na Mazowieckiego, bo najmniej obiecuję, bo jest człowiekiem kompromisu. — Zapytani, co mają na myśli, mówią o kompromisie, stwierdzają, że Mazowiecki jest katolikiem, człowiekiem wykształconym, który będzie godził zwalonej strony, człowiekiem, który rozpoczął budowanie polskiej demokracji. Wierzą, nie wiedząc w co. Zwykle nie mają nawet pojęcia, co oznacza demokracja. Sądzą — przekonani przez Kuronia, że gdyby nie głosowali na Mazowieckiego, oznaczałoby to, że opowiedzieliby się za chaosem, za brakiem wiarygodności polskiej polityki. Nie rozumieją, że gra toczy się ponad ich głowami, że w gruncie rzeczy opowiadając się za Mazowieckim, wybierali plan Balcerowicza, recesję, bezrobocie, pozorne przemiany, dokonywane na gruncie konstytucji z 1952 r. ...

Głosując na Tymieńskiego wybierali człowieka, który nie zna układów politycznych w Polsce, układów, które nadal decydują, które należy zmienić, ale można to uczynić tylko wtedy, jeżeli się je zna, wie w jakim kierunku zrobić mały krok i w którym momencie, i w jakiej sprawie nie można się zgodzić na kompromis. „*Głosowałem na Tymieńskiego, bo to człowiek sukcesu, biznesmen, a właśnie gospodarka państwa decyduje o jego sile.*” Gdyby nie wpadka z „*potówieniem*” Mazowieckiego być może elektorat Tymieńskiego byłby jeszcze większy. Jak można było głosować na człowieka, o którym praktycznie nic się nie

Białe i czerwone pióropusze, mundury i ordery, akademie ku czci, no i te rzekomo znakomite zarobki — oto obraz górnictwa węgla kamiennego utrwalony przez lata komunistycznej propagandy. Dziennikarze nawet nie mieli szans przebicia się z innym „image” tego przemysłu. Trud górnika można było przedstawiać w tonacji „romantyczno-kawalerskiej” — ciężko lecz zwycięsko. A tymczasem nawet małe dzieci na Śląsku wiedziały: każde pół miliona ton węgla rocznie to jeden zabity górnik.

Z jednej strony tumaniono Polaków różkosami życia górników; z drugiej — przedstawiano górników jako robotniczą arystokrację. Była to iście diaboliczna polityka: w Polsce „pozaśląskiej” uważano, że „górnicy kapryszą”, zaś na Śląsku zaszczepiono przekonanie, iż poza własnym regionem nie mogą liczyć na zrozumienie. I była to prawda.

W stronę 200 milionów

Dekada lata 70' to paradoksalnie jednocześnie moment najwyższego znaczenia górnictwa węglowego i początek jego załamania. Maszyna została rozpedzona poza granice jej naturalnych możliwości.

Szybkimi krokami zmierzano do zwiększenia rocznego wydobycia w granicach do 200 milionów ton. Węgiel był potrzebny zarówno z uwagi na niespotykaną w żadnej innej gospodarce światowej monokulturę energetyczną, jak i na eksport, w którym stał się podstawowym źródłem dewiz dla Polski.

I to wszystko nie byłoby złe, gdyby nie odbywało się kosztem ludzi, natury, i samego przemysłu. Śląsk już przedtem był, a teraz stał się jeszcze bardziej najsilniej zdegradowanym pod względem ekologicznym regionem świata. Takie miasta jak Bytom po prostu rozpadają się. Emisja pyłów, gazów, zasolonej wody i innych tego typu szkodliwych czynników na Śląsku kilku-, kilkunasto-, a nawet kilkadziesiątkrotnie przekracza najliberalniejsze normy ekologiczne.

Równie rabunkową działalność prowadzono w samych kopalniach. Pozostawiono całe kilometry obudów górniczych, bowiem ich demontaż zajmowałby zbyt wiele czasu, eksploatowano pokłady niekiedy nawet w 40 procentach i porzucano, kopano kamień i mieszano z węglem — wszystko, byleby tylko nadążyć z planowanym wydobyciem.

Ucierpieć musieli i ludzie. Nikt ich nie pytał czy chcą, a przede wszystkim czy fizycznie podążają pracy w soboty. Mają fedrować i już. Wszelkie porównanie, np. z RFN ówczesną, dotyczące bezpieczeństwa w kopalniach wskazywały, że w polskim górnictwie dzieje się źle. To wszystko było „nie do publikacji”.

Zastraszająco pogarszała się zdrowotność. Kopalnie stały się fabrykami kalek, a życie w zdegradowanym regionie tylko pogłębiało rozmiary katastrofy. Dla nikogo, kto choć trochę znał Śląsk — wybuch w Jastrzębiu nie był niespodzianką.

Kryzys dociera do pokładów

W 1989 r. zakończyły się dzieje mołocha. Od 1 stycznia b.r. mamy 70 samodzielnych kopalń oraz 27 zakładów specjalistycznych pracujących na rzecz górnictwa. I zaczęły się schody...

Rzecz w tym, że każda kopalnia ma inne koszty wydobycia, każda dysponuje węglem różnej wartości. Wyniki ekonomiczne muszą zatem być rozbieżne. Po ośmiu miesiącach okazało się, że 49 wykazuje stratę bilansową — od 80 miliardów zł do 2,6 miliarda; natomiast 21 kopalń uzyskały zyski: od 320 mln zł do 56 miliardów. Jak zatem mogą być równe płace, a zwłaszcza nagrody z zysku, skoro powstały tak wielkie rozbieżności? A jeszcze trzeba zapłacić haracz na rzecz państwa zwany dywidendą!

Górnicy zastrajkowali. Istnieje w tej grupie zawodowej solidarność, bodaj w innych zawodach niespotykana. Zażądali standaryzacji plac w górnictwie. Tylko że to może postawić znów

wnictwo czy przemysł chemiczny. Kilka łagodnych zim spowodowało utrzymanie zapasów w elektrowniach zawodowych i komunalnych. Są też sygnały, że również rolnicy odbierają mniej węgla niż zazwyczaj, ale tym informacjom trzeba przysłuchiwać się z rezerwą.

Odpadają dotacje z budżetu państwa, odpada w sporej części centralne finansowanie inwestycji w kopalniach. Tu mała dygresja — inwestycje w kopalni muszą być dokonywane w sposób (z reguły) ciągły. To nie przemysł maszynowy, w którym stawia się halę i czeka aż uzbierają się pieniądze na maszyny. Tu robota raz zaczęta musi być skończona — wolniej lub szybciej, ale skończona. Jeśli nie — wszystko idzie na marne. A czasem może to grozić wręcz katastrofą.

W powyższej trudnej sytuacji lobby górnicze straciło swoją siłę. Cicho o górnicych w Sejmie, w trakcie kampanii prezydenckiej wymieniani byli gdzieś tam na końcu.

Superkoncern w odstawce

Pod takie potrzeby skonstruowany został cały system organizacyjno-finansowy górnictwa. Cena węgla została oderwana od kosztów wydobycia (różnych w poszczególnych kopalniach) i od ceny światowej. Węgiel był dotowany ze skarbu państwa.

W takich warunkach kopalnie nie miały szans na prowadzenie jakiegokolwiek sensownego rachunku ekonomicznego. Więc po co im samodzielność prawna? Powstały superstruktury, których nazwy ulegały

Węgiel kamienny

Zawał w kopalniach

zmianom; a to zjednoczenia, a to gwarectwa, lecz nad wszystkim cwałował superkoncern — Ministerstwo Górnictwa.

Ten samonapędzający się mołoch został w końcu rozbity po ładnych kilku latach zażartej walki. Górnicy odetchnęli z ulgą — wreszcie będą na swoim. Za wcześniej.

na głowie cały istniejący system ekonomiczny kraju, bowiem dla jednego działu trzeba by uczynić wyjątek.

Gdybyż jeszcze panowała koniunktura... Ale, niestety, spada zapotrzebowanie węglowe, bo na pół czy ćwierć gwizdka pracują tacy wielcy odbiorcy węgla jak hutnictwo, kokso-

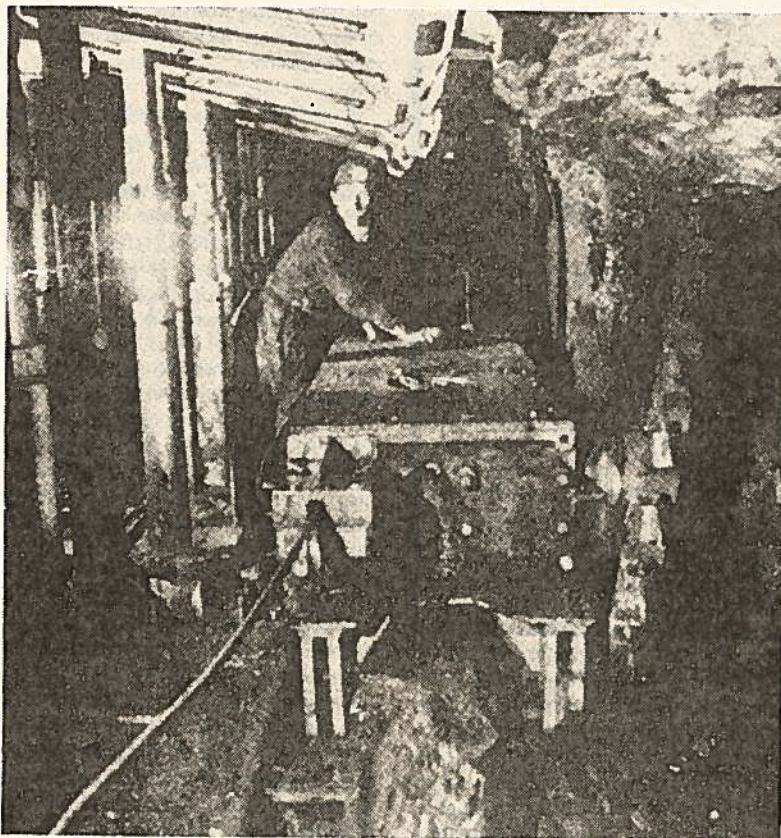
Czy istnieją drogi wyjścia?

W ciągu ośmiu miesięcy tego roku wydobyto w kopalniach 101 mln ton węgla — czyli o 20,6 mln ton mniej niż w takim samym okresie ubiegłego roku. Spada też dyscyplina pracy, spada zatrudnienie, spada wydajność pracy (o około 4 proc. w skali 8 miesięcy, a więc dużo).

Słowem to, co było dumą i chwałą, na naszych oczach w ciągu kilku lat wali się w proch. Jest jeszcze jedna trudność, o której trzeba wspomnieć. Francuscy socjologowie pracy stwierdzili, że najtrudniejszymi do przekwalifikowania zawodami są: górnik i rybak. To są wybory na całe życie. Zważywszy na spadek zarówno prestiżu społecznego, jak i płacy realnej w górnictwie, Śląsk staje się pod względem zagrożenia społecznego istną mieszkanką wybuchową. Jak pył węglowy...

Trzeba coś z tym zrobić. Musi nastąpić w miarę szybko radykalna poprawa warunków ekologicznych panujących na Śląsku. Tego będą od nas wymagać nie tylko jego mieszkańcy, lecz w coraz większym stopniu sąsiedzi. Musimy przerwać dalszą dekapitalizację kopalń. Węgiel może okazać się jeszcze potrzebny, skoro rezygnujemy z energii jądrowej i nie wiemy, co będzie z ropą.

Musimy wreszcie pomyśleć o górnicych, którzy przez lata byli traktowani jako żywe dodatki do fedrujących maszyn i oudów zmechanizowanych. Ich strajk był (i będzie, bo może się to powtarzać) krzykiem tonącego.



Dokumentacja minionej epoki — upozowany górnik uśmiecha się do aparatu. Dziś raczej takiego zdjęcia łatwo zrobić by się nie udało.

Fot. ARCHIWUM

JACEK ŚWIDZIŃSKI

Pierwszy oficjalny kontakt polsko-białoruski zakończył się niepowodzeniem. Białoruski postulat podjęcia rozmów nad traktatem o granicach spowodował, że wspólna deklaracja nie została podpisana. Dla Polski jest to porażka, dotkliwa dziś i kłopotliwa na przyszłość, jednak drugorzędna z punktu widzenia naszej racji stanu. Dla Białorusi natomiast jest to klęska. Nie podpisując deklaracji, w której Polska uznawała jej suwerenność, zaprzepaściła ona szansę umocnienia swej pozycji międzynarodowej, a odmawiając uznania istniejących granic rząd w Mińsku utrudnił sobie porozumienie z innymi państwami europejskimi.

Oprócz kwestii granic odmowę podpisania deklaracji motywowano w Mińsku dyskryminacją Białorusinów w Polsce oraz polonizatorską działalnością Kościoła katolickiego w obu krajach (a więc sprawą, na którą rząd polski nie może mieć wpływu). Nie można wykluczyć, że wysunięcie tych zarzutów przez czynniki rządowe spowodowane było chęcią dorównania radykalizmem hasel opozycji, która bez ogródek formułuje roszczenia terytorialne wobec Polski.

Polskie MSZ przewidywało poważne trudności w rozmowach w Mińsku, pełnym zaskoczeniem stała się natomiast szowinistyczna postawa Białoruskiego Frontu Ludowego, głównej siły opozycyjnej. Dodajmy jednak od razu, że rzekoma antypolska demonstracja w Mińsku była w rzeczywistości pikietą liczącą nie więcej, niż 10 uczestników.

Białorusią wciąż rządzi komunistyczny beton — to jednak nie tłumaczy wszystkiego. W końcu tacy sami komuniści rządzą w Kijowie, gdzie rozmowy przebiegły bez trudności. Ale też w Kijowie w tym czasie stutysięczne tłumy żądały dymisji rządu i wolnych wyborów. Pod taką presją nawet be-

działność Moskwy. Nie zdobyli się dotychczas nawet na wprowadzenie symboliki narodowej i polską delegację przywitani flagami sowieckimi (czerwoną — związkową i czerwoną z błękitnym pasem — republikańską) a nie narodowymi, biało-czerwono-białymi.

Co gorsza, białoruska opozycja jest słaba zarówno organizacyjnie, jak i intelektualnie. Nie myśli kategoriami przejęcia władzy, nie ma jasnego wyobrażenia o przyszłym państwie. Nie ma tu ani weteranów antykomunistycznej

To prawda, że sytuacja Białorusinów, podobnie jak innych mniejszości w naszym kraju nie dorasta do poziomu, wymaganego od państwa demokratycznego. Ale doprawdy trudno mówić o dyskryminacji. W końcu to w Polsce działa bez przeszkód Białoruski Związek Demokratyczny, partia polityczna, jakich próżno szukać na Białorusi. Sam **Sokrat Janowicz**, czołowy przywódca polskich Białorusinów świadczy w swej książce „Białoruś, Białoruś”, że pod wieloma względami sytuacja Białorusinów w Polsce była do niedawna lepsza, niż na sa-

ka. Co może im przeciwstawić — Kupalę? To przecież poeta formatu Konopnickiej. Tymczasem na południu separatyzm poleski coraz wyraźniej ewoluuje ku ukraińskości (Polesie jest etnograficznie ukraińskie, a nowoczesnej świadomości narodowej dotąd tu nie było). Na północy dynamicznie odradza się polskość...

Polskie odrodzenia na Białorusi niemal z pewnością doprowadzi do repolonizacji środowisk zrutenizowanych (czy zrusyfikowanych?) w ostatnich pokoleniach. Ale prawdopodobna jest też masowa polonizacja białoruskich katolików, z których znaczna część jest bliska polskiemu pochodzeniu. Dla nas jest to radość; dla Białorusi — śmiertelne zagrożenie.

Mniejszość polska na Białorusi — licząca zapewne znacznie ponad pół miliona mieszkańców — zwróciła się wzdłuż granicy z Polską i Litwą,

Między Polską a Białorusią

partyzantki, ani działaczy, zahartowanych w łagrach Mordwy i Uralu, a stopień oświaty politycznej jest tu tak niski, że aktywiści Frontu przyjeżdżają „doszkalać się” do Polski — rzecz dla Ukraińców czy Litwinów wprost nie do pomyślenia.

Właśnie na przełomie września i października na Białostoczczyźnie

mei Białorusi. I choć Janowicz i jego współpracownicy byli długo szukanymi — dobrze wiedzą, że gdyby żyli na Białorusi, dawno zgniliby w łagrach.

Prawdziwą przyczyną trudności w stosunkach polsko-białoruskich jest jednak problem Polaków i polskości na Białorusi. Białorusini nie tyle mają wobec nas kompleksy, ile się nas boją i mają po temu poważne powody. Ten głęboko wynarodowiony kraj nie ma na tyle silnej kultury, by mógł nie obawiać się nacisku narodów ościennych.

Białoruś miała swego pecha w historii — na ogół panował tu spokój i lud nie miał z czego zbudować mitu narodowego, na którym mógłby oprzeć swą nowoczesną tożsamość. Zabrakło tu wielkiej literatury — Białorusini nie mają narodowego *Wieszcza* ani XIX-wiecznej wielkiej powieści realistycznej. Nigdy też nie było tu choćby namiastki Kościoła narodowego. Dziś Białorusini poszukują mitu narodowego w epizodach Powstania Styczniowego i sowieckiej partyzantce lat ostatniej wojny — ale to przecież mało, rozpaczliwie mało wobec otaczających ich silnych, dynamicznych kultur.

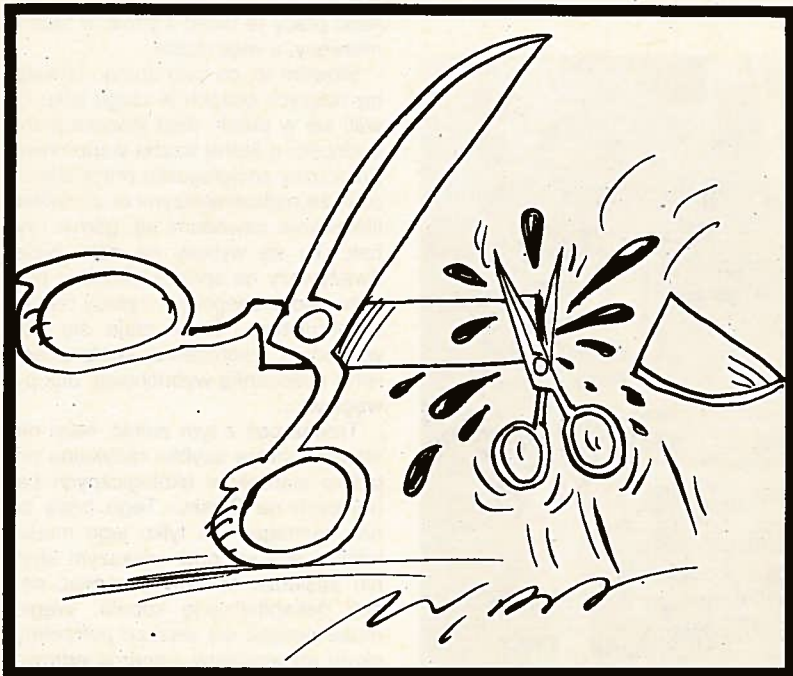
Białoruś wciąż nie może otrząsnąć się z szoku, jakim stały się Czarnobyl i Kurapaty. To, co na Ukrainie stało się dynamitem, rozsadzającym pancierz sowiezizmu, to pogłębiło tylko odrętwienie. Głęboko zrusyfikowana staje dziś Białoruś bezradna wobec odrodzenia rosyjskiej dumy narodowej, która do Puszkina i Tolstoją dodaje Sołżenicyna i Pasterna-

stanowiąc tam znaczną większość ludności. Teraz powraca tam z coraz większą siłą polski Kościół katolicki, doskonale zorganizowany, zamożny, wsparty autorytetem czy wręcz mitem Ojca Świętego. Ilu Białorusinów, wynarodowionych i zateizowanych ten wzorzec pociągnie nie tylko do katolicyzmu, ale i do polskości? I co wtedy stanie się z Białorusią?

To wszystko, oczywiście, nie może być usprawiedliwieniem niemądrej polityki Mińska, a tym bardziej — wysuwania roszczeń terytorialnych. Musimy jednak wiedzieć, że ta polityka bierze się nie tylko z pychy i niekompetencji, lecz że między naszymi krajami leżą poważne kwestie konfliktowe, a przed polityką polską stają tu autentyczne dylematy. A także — że nawet gdyby znać zarysowane tu perspektywy przemian świadomościowych za mało realne lub wręcz nierealne — paniczny wręcz lęk przed nimi jest rzeczywisty i stanowi istotny czynnik motywacyjny, także u polityków.

O tym wszystkim trzeba myśleć, trzeba poszukiwać rozwiązań, które nie stają w sprzeczności z interesami polskiej społeczności na Białorusi nie zagrażałyby też odradzaniu się samej Białorusi, niewątpliwie leżącemu w polskiej racji stanu choćby dlatego, że odsuwa Rosję od naszych granic. Poszukiwanie tych rozwiązań okaże się niewątpliwie trudne, trzeba jednak mieć nadzieję, że ich wypracowanie okaże się możliwe.

TADEUSZ ANDRZEJ OLSZAŃSKI



ton uelastycznia się, a nawet — mądrzeje.

W Kijowie nawet elita partyjna zaczyna już myśleć kategoriami budowy własnego, choć nadal komunistycznego państwa. W Mińsku tacy sami ludzie pragną zachować dotychczasowy komfort rządzenia republiką na odpowie-

odbyło się kilka takich, na wpół konspiracyjnych, spotkań. To tam wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zrodziły się podniesione w Mińsku hasła o prześladowaniu Białorusinów w Polsce i żądania rewizji granic, otwarcie formułowane przez część działaczy białoruskich w naszym kraju.

Błyszczące od złota, piękne kobiety, zawsze młode i atrakcyjne, kuszące ciemną karnacją i modnym strojem, niekoniecznie od Armaniego. Wymyślne kształty butelek z winem o bajecznie kolorowych naklejkach, zachwycających się pachnącym słońcem Południa trunkiem. Nowoczesne samochody, dostojnie lub „sportowo” mijające powolne auta biedniejszych sąsiadów.

To Włochy. Włochy, które cudownie dźwignęły się z mussolińskiego powojennego kryzysu, aby dziś kluć w oczy swym bogactwem tę uboższą i pełną nadziei część Europy. Wszak na liście **10 najbogatszych** ludzi świata z lipca 1990 roku znajduje się aż **6 Włochów** (również wraz z rodzinami). Cud gospodarczy, ekonomiczny boom. Długo by brnąć w meandrach polityki inwestycyjnej, handlowej i strategii przemysłowej, analizując je z podręcznikową dokładnością i logiką. Co właściwie sprawia, że Włochom, niezależnie od ich statusu społecznego czy materialnego, żyje się względnie dobrze, tak, że częściej niż nas, przeciętnych Polaków, stać ich na uśmiech zadowolenia? Sedno tkwi w szczegółach, drobiazgach (w skali kraju, naturalnie), które są często w swej prostocie i logice genialne. Od spraw poważnych, decydujących o kondycji włoskiej gospodarki, po te najbardziej przyziemne, które nam zwykle, niestety, wydają się zbyt białe, by w nurcie wielkich spraw narodowych i idei zadbać o nie. A niestuszenie! Przykłady?!

Ileż stresów i kompleksów powodują u nas drastyczne wręcz różnice kulturalno – ekonomiczne między miastem a wsią. Ci „wsiowii” wytykani są palcami z oczywistym brakiem szacunku przez tych „miastowych”, którzy jakże często wyemigrowali ze swych wsi — „pustyni” w poszukiwaniu barwniejszego i łżejszego życia, starając się określić „chłopskie” w rubryce „pochodzenie” zastąpić tureckim dżinsem i białymi skarpetkami.

Zaden Włoch nie wstydzi się miejsca, w którym się urodził. Czy jest to Rzym, któraś z wysp, czy małe miasteczko na Północy. O, właśnie, w ogóle trudno tam nazwać niewielkie choćby skupisko ludzi wsią; są to miasteczka z pełnym wachlarzem usług (choć i tam te mniej popłatne, a niezbędne, jak hydraulika czy stolarzka powoli zanikają), sklepów wszelkich branż, z odzieżą, muzyką i użytkami, które „trzymają modę”. Włoch ze „wsi” nie czuje się wobec tego gorszy, uboższy (wręcz bogatszy o świeże powietrze i żywność), bo i nie ma powodu. I odwrotnie. Ten z miasta nie ma podstaw, by zadzierać nosa.

Modne ubrania, które szczególnie dla plci pięknej stanowią często podstawę bytu, przez co mogą być przedmiotem niezdrowej rywalizacji, tam są dostępne dosłownie dla każdego: czy to w firmowym sklepie Armaniego za grube tysiące dolarów, czy na popularnym w Italii mercato, gdzie taniej i więcej, a równie kolorowo i na czasie (z jakością bywa różnie).

Obywatelska równość „obowiązuje” także w miejscach, gdzie z natury (dosłownie) ludzie powinni być równi, wszak żołądki mamy takie same i każdy z nas jeść musi. Toteż restauracje, bary służą wszystkim na zasadzie, że każdy, kto tam zachodzi, jest panem sytuacji, czy ma portfel cienki (ale nie pusty), grubszy, czy w ogóle karty kredytowe. Razem jedzą, piją i bawią się, zawierając często tylko chwilowe „przyjaźnie”. Naturalnie, że i tu często pieniądź robi swoje.

Włoch wymaga, bo płaci pieniędzmi — niekoniecznie takimi przez wielkie „P”. Nie straszą go ze wszystkich swych ścian zakazy „Młodzieży do lat 18...”, „Nie wchodzić z psami”, „Nie palić”, nakazy „Kaucja za nóż...”, „Żądasz czystości...”, „Wódką handluje się po 13” i przestrogi „Za rzeczy zgubione szatniarz nie odpowiada”, „Bój się Czarnego Luda”.

Telefony. W Polsce wciąż luksus, służący głównie do prywatnych rozmów urzędniczek na temat pięknej karkówki czy rajstop z importu, względnie wezwania pogotowia. Popusute automaty, ciągła walka z ich uruchamianiem (nareszcie ziszcilo się marzenie o zetonach, tak przecież wypróbowanych na cywilizowanym świecie), zamknięte niemalże na kłódkę, strzeżone własną piersią przez urzędniczego Cerbera aparaty



innych użytkowników dróg. Znają swą wartość o czym świadczą wymownie ich zarobki, grubo ponad przeciętne. Transport ciężarówką chociażby od miejsca produkcji do miejsca sprzedaży zastępuje długą, cza-

(od „macać”) owoców i pieczywa są już wychowani na lepsze), o jakże wygodnych i pożytecznych plastikowych workach na śmiecie, które powodują, że kosz na odpadki jest czysty, bo łatwo go opróżnić; podobnie

Złoty sedes

w instytucjach. Niestety, nastąpiło u nas zwyczajne pomylenie pojęć; telefon ma służyć człowiekowi do **szybkiego** porozumiewania się, **łatwiejszego** załatwiania **różnych** spraw, a nie być często nieosiągalnym czy zbyt kosztownym dodatkiem, o czym niech dobitnie świadczy fakt, że niektórzy w końcu XX wieku i w środku Europy nie są pewni, jak korzystać z tego wynalazku (!), który pozornie skomplikowany onieśmiela ich (fakt taki miał miejsce przy teleautomatach przy Pl. Wilsona w Warszawie). Zetony, które u nas na początku wydawały się cudem myśli technicznej, tam od dawna są w obiegu zarówno „telefonicznym”, jak i normalnym pieniężnym, tzn. mają tę samą wartość, co analogicznej wartości moneta i mogą być jako taka wykorzystane. Proste, a jakie pomocne!

Popularny, wręcz słynny w Europie transport ciężarówkowy nie oznacza tylko sunących po szosach długich i ciężkich, ale bardzo wygodnych (sprawdzone!), nierzadko kolorowych i wesolych „Iveco”, „Volvo” i „Mercedesów”, ale również doskonale zorganizowaną sieć barów, wcale nie tańszych i nie gorszych, sklepów, parkingów, moteli i przede wszystkim doskonałej jakości dróg, czy to autostrada, czy zwykła państwowa droga. Kierowcy ciężarówek to we Włoszech potęga, to olbrzymia brać, solidarna wobec siebie i na ogół lubiana przez

so- i pracochłonną drogę podwójnego załadunku i rozładunku kolej — samochód. Jest szybszy, ostrożniejszy i tańszy. A czas to pieniądź. Pamiętają o tym również szanujący czas właściciele wielkich zakładów, wielkich chociażby ze względu na zajmowaną powierzchnię. Każdą większą przestrzeń pokonuje się... na rowerze, nawet takim starym, prostym, ale nadającym się jeszcze do przemierzania się z miejsca na miejsce. Nikomu do głowy nie przyjdzie, aby wydawać ciężkie pieniądze na wygodne „meleksy”, czy patrzeć spokojnie na tłumy beztroskich pracowników, którzy specjalnie powolnym krokiem poruszają się po terenie zakładu, bo to zdąży się zapalić, pogadać z tym i owym, a może i wypić piwko. Znów: bez zabytku, a wygodnie dla każdego!

Długo by snuć marzenia (poparte włoską „praktyczną” rzeczywistością) o pedantycznie pakowanych wędlinach (cienkie plasterki spod maszyny krojącej z pietyzmem przekładane są specjalną folią i pakowane w odpowiedni papier), kulturze w sklepie i to tej ze strony sprzedawcy (uśmiech, uprzejmość, kompetencja), jak i kupującego (w sklepie nie powinno się palić, jeść, bo można coś zniszczyć, ale „klient nasz pan”; „macadorzy”

ma się sprawa z wolnostojącymi dużymi pojemnikami, a gdy takowych nie ma, nikogo nie brzydzą schludne worki-pakunki, czekające przy drodze na śmieciarke, ta zaś nie lepi się od brudu i przez to nie wlecze za sobą (i przed sobą również!) obrzydliwego smrodu. Jest jeden warunek, którego spełnienie Polakom nadal przychodzi z brzemieniem w skutki trudem: takie rzeczy muszą być tanie, łatwo dostępne czy względnie zastąpione czymś równie wygodnym i tanim. Nic bowiem dziwnego, że Polakowi żal wydać jedną siedemsetną zarobku na worek do wyrzucenia.

Dopełnieniem wygody i świadectwem dobrobytu są urzekające swą różnorodnością i urodą (!) ... toalety, publiczne, tylko dla klientów, prywatne. Nawet wytrawnego podróżnika wprawi, jeśli nie w zachwyt, to w zdziwienie, wielość konstrukcji, kształtów i kolorów. Tajemnicze guziki w ścianach, znajome łańcuszki, srebrzyste przyciskacze, fotokomórki i automaty wraz z odświeżającymi powietrze dezodorantami i kolorowym, miękkim papierem ożywiają polską wyobraźnię i marzenia o własnym „złotym” sedesie...

KATARZYNA TURSKA

Winston Churchill i Clement Attlee, Władysław Grabski i Wincenty Witos, byli równoznacznymi premierami i to w wielkim stylu. Ale nominacje ich na to stanowisko nie miały tego samego znaczenia.

W. Churchill czy Wł. Grabski bowiem niejako „z urodzenia”, z przynależności do pewnej grupy społecznej, przeznaczeni byli do zajęcia poważnych stanowisk, do bezpośredniego wpływu na decyzje państwowe. C. Attlee lub W. Witos nie mieli „równego startu” w porównaniu z W. Churchilllem i Wł. Grabskim i tylko wielkie osobiste uzdolnienia i talenty, a ponadto samozaparcie w zdobywaniu wiedzy, stworzyły dla nich możliwości wybicia się.

Bywają jednak okresy, kiedy następuje „awans” całych grup społecznych. Takie okresy przeżywaaliśmy w pierwszych dziesięcioleciach powojennych. Okresy rewolucyjne. Warstwa robotnicza „uzyskała” wpływ na rządy w państwie, jej rola w cudzoziemiu z „podwładnej” przekształciła się w pseudo „kierowniczą”. Formalnie takiego „awansu” doznała również warstwa chłopska. Znamy to dobrze i pamiętamy. Inna zupełnie sytuacja przypadła inteligencji. W gruncie rzeczy, społeczna sytuacja inteligencji — a szczególnie tej w przeważającej masie bezpartyjnej — nie była łatwa.

„Awans” grupy społecznej, może być i powinien być dla przynależnych do tej grupy, zlikwidowaniem upośledzenia, stworzeniem równego startu, ale przynależność do pewnej grupy społecznej, nie może zastępować kwalifikacji osobistych, co w pierwszych latach komunizmu w Polsce, stało się prawie zasadą. Wystarczyło być robotnikiem i równocześnie działaczem partyjnym, żeby zostać wojewodą. Społeczne skutki takiego awansu, pozostawiam bez komentarza.

Państwo demokratyczne ma obowiązek każdemu udostępnić zdobywanie wiedzy, niezależnie od tego, czy ktoś może za naukę płacić, czy nie. Ale co innego jest dać darmo — w znaczeniu wysiłku — dyplom, będący zaświadczeniem o posiadaniu wiedzy. To pierwsze jest dobrodziejstwem, to drugie demoralizacją. Pamiętamy takie szkoły i uczelnie „resortowe”, do których niesławnej pamięci komitety PZPR kierowały po dyplom swoich aktywistów i aparatczyków, zajmujących już stanowiska dyrektorskie. W pierwszym przypad-

ku całe społeczeństwo odnosi korzyść z tego, że ktoś zdobył wykształcenie, w drugim przypadku całe społeczeństwo ponosi stratę, gdy ktoś dostał niezаслужenie dyplom lub wykształcenie, nieprzydatne zarówno dla gospodarki narodowej, jak i zajmowanego stanowiska.

Wybrałem

I to samo dzieje się, jeżeli chodzi o awans w innych dziedzinach. Każdy robotnik powinien mieć szansę zostać dyrektorem fabryki. I powinien nim zostać, jeśli wykaże odpowiedni talent, przygotowanie, wiedzę i doświadczenie. Za talent, wiedzę, zdolności organizacyjne, uczciwość. Ale nie za to, że jest robotnikiem. Bo robotników są miliony, a dyrektorów setki. I przy stosowaniu kryteriów nie obiektywnych, tylko politycznych, w oparciu o legitymację partyjną i rekomendację komitetu, robiło się krzywdę przede wszystkim społeczeństwu oraz gospodarce narodowej, kierując na stanowiska najczęściej miernotę, bez kręgosłupa moralnego i politycznego. Dzisiaj ich właśnie widzimy, jak szybko się „przefarbowali”, a nawet spotykamy w procesjach...

Nie w tym sens, żeby znieść indywidualne trudności w zdobyciu dyplomu czy stanowiska, tylko w tym, żeby te trudności były dla wszystkich jednakowe. Selekcja ludzi w ustroju demokratycznym polegać powinna właśnie na tym, że ocenia się człowieka wedle jego wartości własnych, a nie wedle przynależności klasowej i partyjnej. Zdrowy instynkt warstw demokratycznych doskonale to wyczuwa. Nie ma autorytetu dyrektor-robotnik lub premier-robotnik, który dostał się na to stanowisko bez odpowiednich kwalifikacji. Taki awans budzi w społeczeństwie tylko niesmak, rozgoryczenie i zawiść.

W polityce społecznej, zagadnienie awansu jest jednym z najważniejszych i nie wolno rozwiązywać go fał-

szywie, pod kątem widzenia doraźnych, taktycznych korzyści politycznych, I za to właśnie płaci dzisiaj cały naród zaniedbaniami, na wszystkich możliwych odcinkach, jakie pozostały nam w spadku rządu komunistów.

KWALIFIKACJE KANDYDATA NA PREZYDENTA

Moim zdaniem na pierwszym miejscu należy postawić wykształcenie i doświadczenie oraz staż w życiu społeczno-politycznym. Wykształce-

nie to i doświadczenie trudno będzie zdobyć kandydatowi — o ile go nie posiada — gdy obejmie już fotel. Znajomość historii i nauk o stosunkach międzynarodowych, jest tu również potrzebna. Współczesność jest wynikiem przeszłości, więc dla właściwego zrozumienia teraźniejszości, niezbędna jest odpowiednia znajomość przeszłości. Od wieków przecież uważano historię za „magistra vitae”, za klucz do poznania wszelkiej mądrości życia ludzkiego.

Nikt nie może zostać generałem, jeśli nie przeszedł przez kolejne stopnie wojskowe, gdzie wyuczył się swego zawodu. Stąd też awans od robotnika do prezydenta, na progu XXI-go wieku — moim zdaniem — jest niewskazany.

Aby rzadzić tak skomplikowanym organizmem, jakim jest w dobie obecnej państwo, nie wystarczą dobre chęci. Trzeba mieć odpowiednią wiedzę i doświadczenie. **POLSKA MUSI MIEĆ PREZYDENTA ORAZ RZĄD, KTÓRY BY SIĘ LICZYŁ I CIESZYŁ PRESTIŻEM MIĘDZYNARODOWYM.** Ostatnie czterdzieści kilka lat, to jeden wielki upadek autorytetu naszego państwa.

KRAJOWI POTRZEBNY JEST

Dziś, krajowi borykającemu się z kryzysem ekonomicznym i politycznym, potrzebny jest przywódca o silnej osobowości, ze stażem w życiu społeczno-politycznym i konkretnym programem działania, dobrze rozumiejący swoje obowiązki wobec narodu. Poza odpowiednim wykształce-

niem, doświadczeniem, energią, poczuciem odpowiedzialności i wartościami moralnymi opartymi o ideały niepodległościowe i chrześcijańskie, odpowiadające znakomitej większości polskiego społeczeństwa, powinien być konsekwentny w tym co robi, uparty, a równocześnie opanowany, o wielkiej kulturze osobistej. Podstawowym jego zadaniem będzie skonsolidowanie całego narodu w pracy nad odbudową kraju w atmosferze równości i wolności politycznej. On właśnie będzie czuwał nad realizacją stabilności naszej gospodarki, stabilności złotego i nienaruszalnością granic Rzeczypospolitej.

NIE POWINIEN BYĆ

A jaki nie powinien być? Demagog, zwolennik atomizmu społecznego, który by za główne motywy działań uważał, żądę władzy i posiadania. Ponadto agresywny i nierzetelny zarówno w argumentacji, jak i podawaniu faktów. Taki właśnie stworzyłby doktrynę polityczną, zalecającą stosowanie przemocy, podstępów, obłud, w myśl zasady „cel uświęca środki”. Byłaby to polityka nie krępująca się żadnymi więzami moralności. I w tym momencie zagrożone zostaną nie tylko demokracja, ale i życie ludzkie.

25 LISTOPADA

GŁOSOWAŁEM — w moim przekonaniu — ZA IDEOWYM, INTELI-GENTNYM, UCZCIWYM POLITYCZ-NIE, ODWAŻNYM, GORĄCYM PATRIOTĄ, PREZYDENTEM ROZSA-DNYM — POLSKI ROZSĄDNEJ, KTÓREJ NIE MOŻNA WYSTAWIAĆ NA RYZYKO I NIEPRZEMYŚLANE EKSPERYMENTY. ZOBOWIĄZUJĄ MNIE DO TEGO RÓWNIEŻ WALORY, AUTORYTET I POSTAWA POPRZEDNICH PREZYDENTÓW DRUGIEJ RZECZYPOSPOLITEJ, ŁĄCZNIE Z NACZELNIKIEM PAŃSTWA JÓZEFEM PIŁSUDSKIM NA CZELE.

TADEUSZ BIELEWICZ

Od Redakcji:

Autor powyższego tekstu, był ostatnim adiutantem gen. dr Zygmunta Waltera-Janke, komendanta Okręgu Śląskiego AK i należał do tych, którzy najdłużej po wojnie kierowali walką ze stalinowską komuną oraz bili się o honor Armii Krajowej i niepodległość Rzeczypospolitej.

● Firma „Mazda” za nazwanie swojego sportowego modelu samochodu „Nawajo”, czym obraziła dumę północnoamerykańskich Indian

● Sprzedawcy samochodów firmy „Oldsmobile” i „Pontiac” za obrażanie w reklamach uczuć narodowych japońskiej konkurencji.

Jak łatwo zauważyć, wśród laureatów nie ma autorów tzw. „Polish Jokes”. Albo niewybredne dowcipy o Polakach wyszły już z mody, albo są tak popularne że przestały razić.

W.B.

Zagranica

Nietolerancja na cenzurowanym

Nasi publicyści coraz częściej biadolą nad odradzającym się jakoby w Polsce antysemityzmem, powszechną niechęcią do Arabów, Cyganów, Murzynów itp. Potępiają, usiłują skłonić — oczywiście bezskutecznie — do refleksji i nic więcej.

Tymczasem w USA ludzie potrafią zrobić sobie zabawę nawet z własnych ksenofobii. Krajowa Koalicja Etniczna złożona z przedstawicieli 66 zamieszkujących ten kraj narodowości przyznaje co roku nagrody „Złotej Bestii”, piętnując w ten sposób

przejawy rasizmu i uprzedzeń narodowościowych. „Złote Bestie” otrzymują autorzy programów telewizyjnych, filmów i reklam, w których można znaleźć choć cień nietolerancji. Oto tegoroczna lista uhonorowanych przez KKE:

● Film „Good Fellows” za podtrzymywanie stereotypu Włocha — mafiosa

● Film „No better blues” za antysemityzm

● Film „Show of forces” za pokazywanie w złym świetle Portorykańczyków

Kiedy wygasa kadencja gen. Wojciecha Jaruzelskiego? Najnowsza ustawa nowelizująca Konstytucję z 27 września br. stwierdza, że „... z chwilą objęcia urzędu przez Prezydenta wybranego w wyborach powszechnych.” (art. 2). Będzie to jednak niemożliwe, albowiem zgodnie z obowiązującą Konstytucją, objęcie urzędu ... następuje następnego dnia po upływie kadencji urzędującego Prezydenta” (art. 23c, ust. 2). Powstało klasyczne błędne koło: objęcie urzędu jest możliwe najwcześniej następnego dnia po upływie kadencji urzędującego Prezydenta, która wygasa dopiero w momencie objęcia urzędu przez nowego Prezydenta. Czy naprawdę gen. Jaruzelski jest nieusuwalny?

Prezydent i parlamentarzyści wpadli w pułapkę legislacyjną, z której nie ma, wydaje się, wyjścia, jeżeli nie uchylą się lub nie zmienią art. 2 ustawy o zmianie Konstytucji. Spróbujmy wyjaśnić dlaczego tak się stało, aby w przyszłości uniknąć podobnych sytuacji.

Trzeba wrócić do kontraktu zawartego przy „okrągłym stole”. Jak pamiętamy komuniści zgodzili się na wolne wybory do Senatu pod warunkiem wprowadzenia instytucji prezydenta wyposażonego w daleko idące prerogatywy. Niedawno ukazała się książka Krzysztofa Dubińskiego, zatytułowana: „Magdalena. Transakcja epoki.”, która ujawniła niektóre sekrety oraz kulisy tych negocjacji. Dowiedzieliśmy się z niej, że najdłużej spierano się o prerogatywę, weta prezydenckiego wobec ustaw sejmowych.

Natomiast strona solidarnościowa zaakceptowała bez szemrania wszelkie obwarowania prawne zapobiegające opróżnieniu urzędu Prezydenta przed upływem kadencji. Chodziło o to, żeby gen. Jaruzelski mógł spokojnie przetrwać na najwyższym urzędzie państwowym przez sześć lat. Ustalono przeto, że opróżnienie urzędu przed upływem kadencji może nastąpić wyłącznie na skutek: 1) śmierci, 2) zrzeczenia się urzędu, 3) uznania przez Zgromadzenie Narodowe trwałej niezdolności do sprawowania urzędu, 4) złożenia z urzędu orzeczeniem Trybunału Stanu. Ustalenia w podwarszawskiej miejscowości zostały zapisane słowo w słowo w Konstytucji (art. 32e).

Śmierć jest w ręku Pana Boga, zrzeczenia się urzędu nikt nie oczekiwał, natomiast uchwały Zgromadzenia Narodowego wymagały większości kwalifikowanych w pierwszym przypadku 3/5, w drugim — 2/3) tak wysokich, że gwarantowały w praktyce nieusuwalność generała. W Magdalence zgodzono się, że dla kandydatury Jaruzelskiego nie ma alternatywy (Stanisław Ciosek dowcipkował, że w przeciwnym wypadku trzeba będzie wybrać Dobraczyńskiego). Dlatego nikt nie myślał ani nie planował usunięcia z urzędu generała. Późniejszy Marszałek Senatu prof. Andrzej Stelmachowski czuł się związany do tego stopnia ustaleniami z Magdalenci, że w kilka miesięcy później świadomie oddał głos nieważny podczas wyboru Prezydenta. Ponieważ Jaruzelski został wybrany większością jednego głosu okazało się, że nieobywatelski postępek profesora zadecydował o wyborze generała.

W tej sytuacji przyjęto sformułowanie ustawowe, że objęcie urzędu przez następcę Prezydenta nastąpi w dniu następnym po upływie kadencji, albowiem data jej upływu była znana: dokładnie w sześć lat po wyborze Prezydenta.

W rok później

Po roku, sytuacja polityczna w Polsce uległa zasadniczej zmianie. Lech Wałęsa rozpoczął w praktyce swoją kampanię prezydencką ignorując fakt, że Jaruzelski ma przed sobą jeszcze pięć lat kadencji. Wtórowały mu środki masowego przekazu wymierzając policzek za policzkiem urzędującemu Prezydentowi. Było mu coraz niewygodniej w Belwederze i dlatego postanowił skrócić swoją kadencję. Teraz jednak postanowienia z Magdalenci, które zapadły za jego przyzwoleniem, obróciły się przeciwko niemu. Konstytucja pozostawiała do dyspozycji generałowi wyłącznie zrzeczenie się urzędu. Tak byby postąpił człowiek honoru, który ślubował, że dochowa wierności postanowieniom Konstytucji.

Alé generał nie zamierzał zrzekać się urzędu. Honor utracił już dawno, dlatego złamanie

jeszcze jednego ślubowania, nawet jeżeli było to ślubowanie uroczyste złożone Narodowi Polskiemu, nie miało dla Jaruzelskiego większego znaczenia.

Zrzeczenie się urzędu byłoby niewątpliwie zinterpretowane przez opozycję w Sejmie i poza nim jako przyznanie się do winy za wprowadzenie stanu wojennego. Dlatego generał wybrał sprzeniewierzenie się przysiędze i Konstytucji i postanowił obejść prawo. Wystąpił on

zaprzątał sobie głowy niefortunnym mieszkańcom Belwederu. Niektórzy z parlamentarzystów zdążyli już opowiedzieć się za jednym z dwóch głównych pretendentów do fotela prezydenckiego.

Te nastroje w Sejmie dobrze wyczuł gen. Jaruzelski. Jego inicjatywa ustawodawcza zawierała w sobie szantaż polityczny. Generał zdawał się mówić: „Wprawdzie zrzeczenie się urzędu jest jedyną możliwością jaką daje mi Konstytucja aby odejść przed upływem kadencji ale jest to rozwiązanie nie do przyjęcia dla mnie z powodów politycznych. Pragnę zachować twarz, a Wy, którzy wybraliście mnie na urząd, też powinniście być w tym zainteresowani. Proponuję przeto abyśmy wspólnie zmienili Konstytucję obchodząc prawo. Społeczeństwu wytłumaczymy że Sejm jako najwyższy organ władzy państwowej, jest władny uchwalić wszystko, także i wygaśnięcie mojej kadencji. Wszyscy będą zadowoleni: społeczeństwo — ponieważ będzie mogło wybrać mojego następcę w głosowaniu powszechnym, a więc bezpośrednio, Wy — ponieważ wielu z Was jest przeciwko mnie, a jeszcze więcej również domaga się zmiany na najwyższym stanowisku w państwie, ja — ponieważ odejdę z twarzą. Oto moja propozycja. Możecie ją przyjąć albo odrzucić. Wszelako pamiętajcie: jestem w

nie się urzędu przez Prezydenta. Uchwalenie przez Sejm, a więc tylko o jedną izbę, ustawy o wygaśnięciu kadencji, czyli faktyczne jej skrócenie a przeto opróżnienie urzędu przed upływem kadencji było naruszeniem uprawnień Zgromadzenia Narodowego.

Argument, że Sejm jest władny uchwałać co mu się spodoba uczestnicy RWD odparli w sposób następujący:

„Na tie obowiązujących postanowień Konstytucji RP dotyczących wyboru Prezydenta przed upływem kadencji nie można, naszym zdaniem, obronić stanowiska, iż Sejm jako najwyższy wyraziciel woli Narodu, urzędujący jego suwerenne prawa (art. 20, ust. 2 Konstytucji) miał prawo uchwalić skrócenie kadencji i postanowić o jej wygaśnięciu „... z chwilą objęcia urzędu przez Prezydenta wybranego w wyborach powszechnych”. Sejm bowiem jest wprawdzie najwyższym organem władzy państwowej ale na równi ze wszystkimi innymi organami państwowymi ma On podstawowy obowiązek przestrzegania praw Rzeczypospolitej Polskiej (art. 3, ust. 1 Konstytucji).”

Konkluzje

Jak mnie poinformował dr Albin Kolarski, dyrektor Zespołu Orzecznictwa TK, wniosek uczestników RWD zostanie przedstawiony prezesowi Trybunału, który podejmie decyzję o rozpatrzeniu go przez TK. Orzeczenie Trybunału utworzy drogę do zmiany ustawy z 27 września br., co z kolei pozwoli nowemu Prezydentowi objąć urząd lege artis.

Powstaje jednak pytanie, co będzie jeżeli proces legislacyjny się przedłuży? Czy wybrany przez Naród prezydent-elekt będzie musiał czekać na objęcie urzędu? Moim zdaniem powinien tak uczynić, powinien poczekać na uregulowanie sytuacji prawnej przez szacunek dla Prawa.

Inicjatywa ustawodawcza gen. Jaruzelskiego zmierzająca do obejścia przepisów Konstytucji była klasyczną instrumentalizacją prawa. Spowodowała ona obniżenie prestiżu najwyższego urzędu w państwie. Przyjęcie jej przez Sejm i zaaprobowanie ustawy przez Senat ośmieszyło parlamentarzystów. Państwo i Konstytucja zostały wykpięne.

Leszek Moczulski, jeden z kandydatów na urząd Prezydenta, przyrzekł solennie, że przywróci szacunek i godność Rzeczypospolitej. Oznacza to przede wszystkim przywrócenie szacunku dla prawa. Posłuchajmy tedy przestrogi uczestników RWD, którzy spełniając powinność obywatelską napisali na zakończenie swojego wniosku:

„Instrumentalizacja prawa, podporządkowująca je doraźnym celom politycznym to znane z niedawnej przeszłości zjawisko wolunta-

Instrumentalizacja prawa

mianowicie z inicjatywą ustawodawczą, proponując Sejmowi skrócenie jego kadencji prezydenckiej. W inicjatywie ustawodawczej zaproponował ideę wygaśnięcia kadencji, której w Konstytucji dotychczas nie było. Zamierzał władzę zachować do końca, dlatego nie określił daty wygaśnięcia kadencji prezydenckiej a jedynie uzależnił ją od momentu objęcia urzędu nowo wybranego Prezydenta. W ten sposób wpadł przez nieuwagę w pułapkę legislacyjną, albo też sam ją zastawił. Wyjaśni to najbliższa przyszłość.

W parlamencie

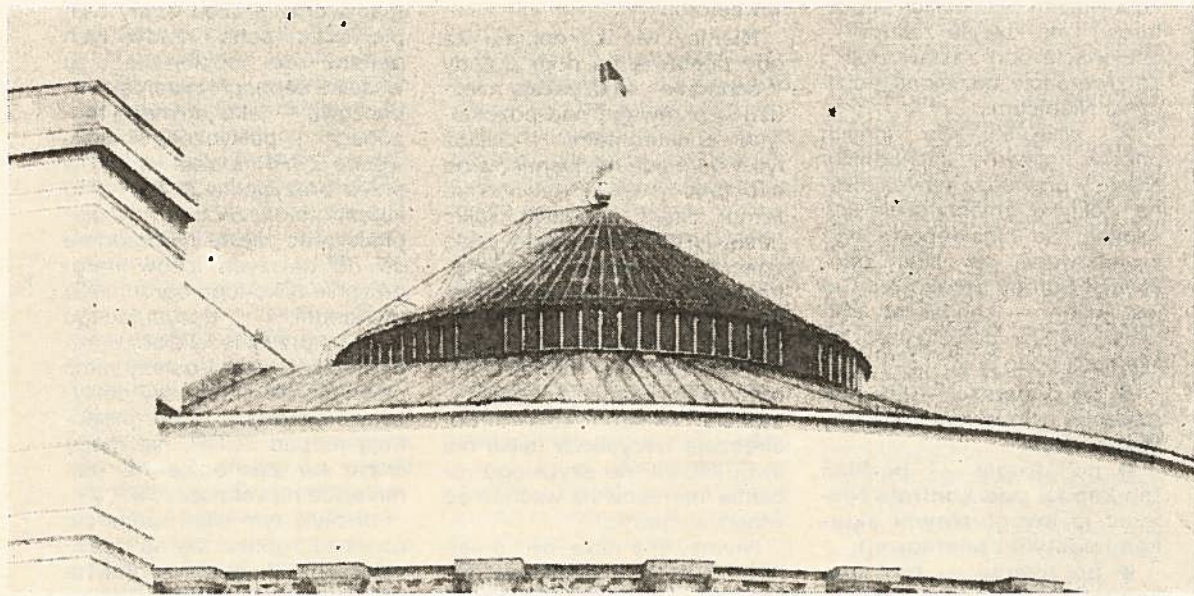
W Sejmie wybuchła burza. Posłowie ze Zjednoczenia Chrześcijańsko-Demokratycznego wnioskowali aby nad inicjatywą Prezydenta

praktyce nieusuwalny i mogą pozostać na urzędzie aż do 18 lipca 1995 roku. Wybierajcie!”

Sejm uległ szantażowi politycznemu i uchwalił ustawę o zmianie Konstytucji. Senat dostosował się do tego.

Czy wszyscy byli zadowoleni?

Pięciu uczestników Ruchu Wolnych Demokratów śródowniska łódzkiego, z mecenasem Karolem Głogowskim, członkiem Naczelnej Rady Adwokackiej nie było jednak zadowolonych. Wystąpili oni z wnioskiem obywatelskim do Trybunału Konstytucyjnego (TK) aby ten — działając z własnej inicjatywy — podjął postę-



przejsz do porządku dziennego i potraktować ją jako zrzeczenie się urzędu. Wniosek ten upadł większością głosów. Dlaczego?

Od dawna wielu posłów dążyło do zmiany na najwyższym urzędzie w państwie. Przede wszystkim ci, którzy głosowali przeciwko Jaruzelskiemu przed rokiem. Rozpoczęła się de facto kampania prezydencka, w której nikt nie

powanie w sprawie „...stwierdzenia zgodności art. 2 ustawy o zmianie Konstytucji RP, z Konstytucją.” Uzasadnienie wniosku było następujące.

Tylko Zgromadzenie Narodowe, a więc połączone izby parlamentu, może zdecydować o opróżnieniu urzędu Prezydenta przed upływem kadencji, chyba że nastąpi śmierć lub zrzecze-

ryz mu władzy rodzące nihilizm polityczno-prawny, dewastujący życie publiczne i leżący u podstaw przeżywanego i z trudem przeżywanego kryzysu społeczno-politycznego. Przeciwno odradzaniu się tego groźnego zjawiska dla Państwa i za utrwaleniem państwa prawnego jest nasza inicjatywa.”

ADAM F. WOJCIECHOWSKI

Zjednoczenie Niemiec oraz ich członkostwo w NATO jest sprawą oczywistą i zrozumiałą dla każdego Polaka. Im więcej jednak upływa czasu, wątpliwości odnoszących się do naszego bezpieczeństwa, zwłaszcza ekonomicznego, jest coraz więcej. Wzajemne kokietowanie się Niemców i ludzi związanych z gremiami rządzącymi Związkiem Radzieckim (choć nie tylko) dla niektórych antysowietów jest potwierdzeniem tezy głoszonej od dawna, iż komunizm jest w istocie wrogiem polskiej suwerenności, a przywódcy radzieccy nie są w stanie ścierpieć niezależnych poczynań Polski. W takich poczynaniach upatrują groźbę dla swych wpływów.

Polska w XX wieku w sposób naturalny współzawodniczyła z ZSRR o wpływy na postawę i morale innych narodów słowiańskich. Słowiańszczyzna przeciw zamieszkuje terytoria od Pacyfiku do granic z Niemcami, a na południu — do granic Turcji i Włoch. Z drugiej strony, w tym samym czasie wpływy narodów germańskich — zwłaszcza polityczne — zmalały. Obecnie rosnąca w moc ich ekonomia pozwala w sposób jednoznaczny i niezależny wyrażać wolę i starać się o przywództwo w EWG, a w przyszłości — i to chyba nie aż tak odległej — w całym świecie tzw. zachodnich demokracji.

Trudności ekonomiczne ZSRR oraz innych państw komunistycznych i postkomunistycznych są w sposób stanowczy i bez skrupułów wykorzystywane w negocjacjach politycznych, gospodarczych i finansowych przez przywódców Niemiec. Niemcy z wrodzoną im oszczędnością robią wielką politykę za jak największe obietnice i za jak najmniejsze pieniądze. Lipcowe rozmowy Gorbaczow-Kohl to prawdziwe mistrzostwo niemieckich negocjatorów.

Rezultatem tych rozmów, oprócz koneksji politycznych, są także praktyczne — pozostawienie 5 mld marek pożyczki nadal w RFN (na spłatę zobowiązań radzieckich importerów) i na kolejne zakupy — oczywiście pod zastaw złota i za gwarancje udzielone publicznie Niemcom.

W stosunku do innych państw, głównie zachodnich, Niemcy prowadzą zawołowaną politykę zniechęcenia ich kapitału do nieskrępowanego inwestowania w tzw. państwach Europy Środkowej. Cel jest jeden — kapitał ten najpierw należy przyciągnąć do Niemiec, po to aby:

● **po pierwsze — jak najszybciej odbudować Niemcy Wschodnie;**

● **po drugie — poddać ten kapitał pod kontrolę Niemiec (z ewentualnymi skutkami polityki podatkowej);**

● **po trzecie — ten sam kapitał nie będzie mógł być w tym samym czasie wykorzystywany w bardziej rentownych przedsięwzięciach w Europie Środkowej (przy naturalnej, ograniczonej w tym czasie, ekspansji kapitału niemieckiego zaangażowanego w przedsięwzięcia we własnej gospodarce).**

W obliczu przyszłych przemian w EWG angażowanie całego kapitału do przekształcania ich wschodniej części pozwala Niemcom pośrednio korzystać z tych inwestycji (głównie podatków) bez strachu o to, że światowy kapitał będzie inwestował znaczne środki w Europie Środkowej. Po wprowadzeniu bowiem nowoczesnych technologii i technik zarządzania rentowność i stopa zysku z natury rzeczy muszą być znacznie wyższe (tania siła robocza, surowce, transport itp.).

Dlatego „kapitał” oraz inwestorów zachodnich straszy się niepewną sytuacją polityczną i społeczną w Polsce, tworząc „mit szczególnych niebezpieczeństw, np. strajków (a politycznie, kto nie strajkował jeszcze w byłej NRD), a także brakiem koniecznej infrastruktury (np. łączności) — jakby na tworzeniu jej nie można było zarobić ogromnych pieniędzy.

Niemcy będą — czy chcą czy nie — musiały ponieść znaczne koszty swojego zjednoczenia. Tego nie unikną, chociaż mają taką nadzieję. Wszystko przecież kosztuje, zjednoczenie Niemiec także. Rząd niemiecki będzie musiał również szukać środków finansowych, głównie we własnym kraju. Wtedy cóż — musi podwyższać podatki także obcym inwestorom.

Niemcy wiedzą dobrze, że gdy postawią na nogi „Landy Wschodnie”, to uzyskają miążdzącą przewagę nad pozostałymi konkurentami. Przecież tylko oni będą mieli speców od ekonomii rynkowej i tzw. socjalizmu. Stare koneksje, jakie miała NRD, będą także wiele znaczyły w kontaktach z ekonomistami i działaczami gospodarczymi z krajów RWPG. Takich możliwości kadrowych nie ma obecnie (prócz Chińczyków i Koreańczyków) nikt w świecie. Dlatego celowo odstręczają wszystkich (tylko nie swój kapitał) od szybkiego rozbicia interesów na wschód od własnych granic.

Niemcy nie lubią być drugimi. Muszą mieć najlepszą walutę, najwięcej kapitału zaangażowanego poza granicami, najnowocześnie wyposażoną armię, najwyższą kulturę, najlepszy porządek oraz osiągać największy postępek i należą im przestrzeń ekonomiczną i terytorialną.

Czytelniku bądź pewien, że nigdy z tego nie zrezygnują,

tak jak wilczek z mięsa. Czekaj cierpliwie i bacznie obserwuj, jak po 1991 roku ten wilczek wychowywany na amerykańskim mleku, gdy dorośnie, zacznie posilać się mięsem. Pierw-

wiańskich? Zaczniemy od interesów Polski. Rozwój sytuacji wskazuje, iż ZSRR pod przewodnictwem Gorbaczowa za poparcie, jakie ma w RFN, jest gotów stworzyć nową „krzyżaczką” enklawę na pograniczu Polski i Litwy, niby to z woli narodu rosyjskiego (uchwała parlamentu Rosji o zgodzie na przesiedlenie się w rejon Kaliningradu mniejszości niemieckiej w Rosji). Fakt ten jest dla Polaków sygnałem do zastanowienia się, czy aby nie udzielić aktywnego wsparcia antyradzieckim siłom w republikach. Pytanie drugie: czy demontaż ZSRR będzie aktem korzystnym dla jej poszczegól-

nych republik oraz słowiańszczyzny zniewolonej w przeszłości przez ZSRR?

Obserwując radziecką scenę polityczną i sytuację finansowo-gospodarczą, można wstępnie powiedzieć — oczywiście bez głębszych analiz — że tak, ponieważ:

● **poszczególne republiki nie są odpowiedzialne za długi ZSRR, dlatego (tak jak po rozpadzie Austro-Węgier) nie muszą jako suwerenne państwa powstałe w wyniku tego rozpadu ich zwracać;**

● **na swoich terytoriach mogą wprowadzić nowy ład polityczny, gospodarczy, fi-**

PAKT SŁÓW

szymi ofiarami będą przedsiębiorstwa ... francuskie, włoskie, brytyjskie — przyjaciół z EWG.

W Polsce politykę rządu ZSRR wielu ocenia jako antysłowiańską. Dowodem na to jest dla nich polityka prowadzona przez ten rząd względem Niemiec oraz państw słowiańskich. Zwłaszcza polityka gospodarcza wysysa wszystkie ożywcze soki z całego ZSRR, a także utrudnia funkcjonowanie gospodarki innych państw z kręgu RWPG.

Groźba rozpadu ZSRR na samodzielne, suwerenne państwa jest hamowana z całą determinacją przez zachodnią finansjerę i ich rządy, które gwarantowały w znacznej części wielomiliardowe pożyczki dla ZSRR. Strach przed nową sytuacją oraz groźba utraty tych pieniędzy pcha rządy tych państw do popierania, za wszelką cenę, prezydenta Gorbaczowa — jako jedyne moralnego i politycznego przywódcę ZSRR. Utrata wpływów przez prezydenta ZSRR — to katastrofa dla zachodniego kapitału oraz wielka niewiadoma co do dalszych losów narodów, nie tylko tego ogromnego terytorium, decydującego wręcz o przyszłości całej Europy i Azji. Dlatego należy mieć pewność, że żadne siły polityczne i społeczne, które proponują rozpad ZSRR, nie mogą liczyć na Zachodzie na najmniejsze nawet poparcie.

Udzielić tym siłom poparcia oznacza zgodzić się na możliwość klęski finansowej oraz na polityczny kryzys we własnym kraju. Dlatego należy liczyć się z tym, że państwa Zachodu będą zdecydowanie zwalczać wszystkie tendencje prowadzące do rozpadu ZSRR.

Czy utrzymanie ZSRR w tym kształcie jest korzystne dla jego republik i narodów, a także Polski i innych państw sło-



nansowy, bardziej efektywny niż obecny oraz zgodny z wolą swojego narodu, a nie ZSRR;

- mogą stworzyć swoją własną „konstytucję” gospodarczą i rozwijać kontakty ze wszystkimi, z którymi uznają to za korzystne, bez zgody i nacisku rządu ZSRR;

- na trupie „uschięgo” RWPG stworzyć nowy międzynarodowy ład gospodarczy państw, byłych sygnatariuszy tamtego układu;

- ustalić na nowych zasadach bezpieczeństwo wszystkich prawdziwie suwerennych narodów i państw, by-

tych sygnatariuszy Układu Warszawskiego. Jedną z propozycji jest stworzenie nowego sojuszu zarówno obronnego, jak i gospodarczego, szczególnie państw słowiańskich.

Należy liczyć się, że Niemcy do 1992 roku zdołają uporządkować wszystkie podstawowe problemy wewnętrzne. Od stycznia wymienionego roku będą gotowe do twardej walki o przywództwo ekonomiczne, a następnie polityczne w EWG. Ostatecznie problem przywództwa — należy przypuszczać — zostanie rozstrzygnięty w ciągu kolejnych pięciu lat na korzyść Niemiec.

który jest już zaniepokojony możliwościami ekspansji gospodarczej Niemiec. Jest czas jeszcze na to, aby wolne „pola” dla obcego kapitału zajęli inni, nie Niemcy. Polska, Czechosłowacja powinny w szczególności zabiegać o inwestycje kapitału, głównie spoza kontynentu europejskiego, zwłaszcza z obu kontynentów amerykańskich oraz Azji. Nie przemieszczenie tego kapitału do Niemiec utrudni ekspansję niemieckim przedsiębiorstwom. Należy sądzić, że w przyszłości uniemożliwi to Niemcom uzyskanie znacznej przewagi ekonomicznej nad pozostałymi partnerami z EWG oraz ułatwi rywalizację Ameryki i Azji na rynkach Europy.

Mając świadomość, iż komunistyczna doktryna ZSRR (nawet z Gorbaczowem) nie jest w stanie uczynić gospodarki państwa efektywną i konkurencyjną, a narody suwerenami własnych republik należy — moim zdaniem — w gremiach politycznych państw słowiańskich rozpocząć przygotowywanie doktryny powstrzymywania ekspansji Niemiec i to w dwóch dziedzinach:

- ekonomicznej,
- militarnej.

Czasu na przeciwdziałanie zniewoleniu ekonomicznemu jest mało. Przygotowywane akty prawne muszą to niebezpieczeństwo uwzględnić.

Zagrożenie militarne stanie się już możliwe w końcu tego tysiąclecia. Tak jak będzie malała stopa zysku i rentowność przedsiębiorstw będących pod kontrolą Niemców, w takim samym tempie będzie rosło zagrożenie wojną o nowe granice oraz nowy ład ekonomiczny. Dlatego procesy gospodarcze i polityczne za Odrą i Nysą należy bacznie śledzić. Porażki w gospodarce mogą być sygnałem do rozstrzygnięcia militarnych.

Polska — w moim przekonaniu — powinna zabiegać o wsparcie tych sił w całej słowiańszczyźnie, które dążą do takiej przebudowy, aby narody słowiańskie miały suwerenne rządy oraz suwerennie wybrane przedstawicielstwa. Stosunki między tymi narodami i państwami powinny opierać się na wzajemnym poszanowaniu interesów i suwerenności. Należy także usilnie szukać wszystkich wspólnych punktów, które ułatwią przeciwdziałanie upadkowi gospodarczemu i będą prowadzić do ekonomicznego rozwoju dzięki wzajemnemu wsparciu ekonomicznemu i politycznemu. Problemy, które dzielą, powinny być rozwiązywane metodą negocjacji przy pełnym poszanowaniu interesów stron.

Polska wraz z całą słowiańszczyzną mogłaby:

- opracować plany i scenariusze nowego ładu ekonomicznego i finansowego w Europie Środkowej oraz Rosji;

- opracować zasady ścisłej współpracy we wszystkich dziedzinach:

- a) ekonomicznej,
- b) politycznej,
- c) obronnej,

w celu hamowania dalszego regresu i rozpoczęcia przebudowy tych dziedzin w interesie wszystkich sygnatariuszy tego paktu.

Białoruś, Czechy i Słowację, Polskę, Rosję i Ukrainę łączą: słowiański rodowód, tradycje walki z najazdami germańskimi, zwłaszcza z hitlerowskim, oraz wspólnota losów narodów żyjących w państwach komunistycznych pod dominacją wpływów ZSRR. Łączą nas również tradycja chrześcijaństwa oraz upadłość gospodarek, cały bagaż związanych z tym problemów społecznych, podobieństwo zasad wychowania indywidualnego i społecznego. Problemy słowiańszczyzny związane z tzw. psychologią społeczną i socjologią są bardzo podobne, dlatego łatwo możemy się zrozumieć i porozumieć, gdy strony wykażą chociaż odrobinę dobrej woli.

Walka z tymi samymi przeciwnościami i zagrożeniami i związane z tym problemy, mogą być efektywniej rozwiązywane w ramach paktu słowiańszczyzny, która dysponuje ogromnym terytorium wraz z bogactwami naturalnymi, lecz małym kapitałem, jednak dużymi zasobami niezłej przygotowanych pracowników. (Posiadamy niezbyt duże różnice w poziomie gospodarek, a także ogromną liczbą obywateli — rynek konsumentów).

Słowiańszczyzna obejmuje najważniejszy strategicznie obszar współczesnego świata. Dlatego współpraca państw słowiańskich powinna być decydująca dla ich dalszych losów, zwłaszcza pomysłowości gospodarczej oraz bezpieczeństwa własnego terytorium. Ta szansa musi być wykorzystana i dzięki niej stworzona nowa przyszłość suwerennych państw słowiańskich, które mogą w ciągu 10 lat zbudować swój własny rynek, wykorzystując najnowsze rozwiązania ekonomiczne, sprawdzone już w świecie.

Polska w proponowanym ładzie miałaby — wspólnie z Czechosłowacją — za zadanie powstrzymać ewentualną ekonomiczną i militarną agresję (o ile takie siły wyrosną w Niemczech). Białoruś i Ukraina udzielałyby koniecznego wsparcia militarnego w razie agresji zbrojnej. Rosja spełniałaby rolę czynnika rozstrzygającego w sytuacji niekorzystnej dla całego paktu słowiańskiego.

Taki sojusz suwerennych państw, bliskich sobie etnicznie kulturowo i religijnie, ściśle współpracujących ze sobą wolnych narodów słowiańskich we wszystkich ważnych dziedzinach, może stać się gwarancją stabilizacji i równowagi sił.

JERZY REINERT

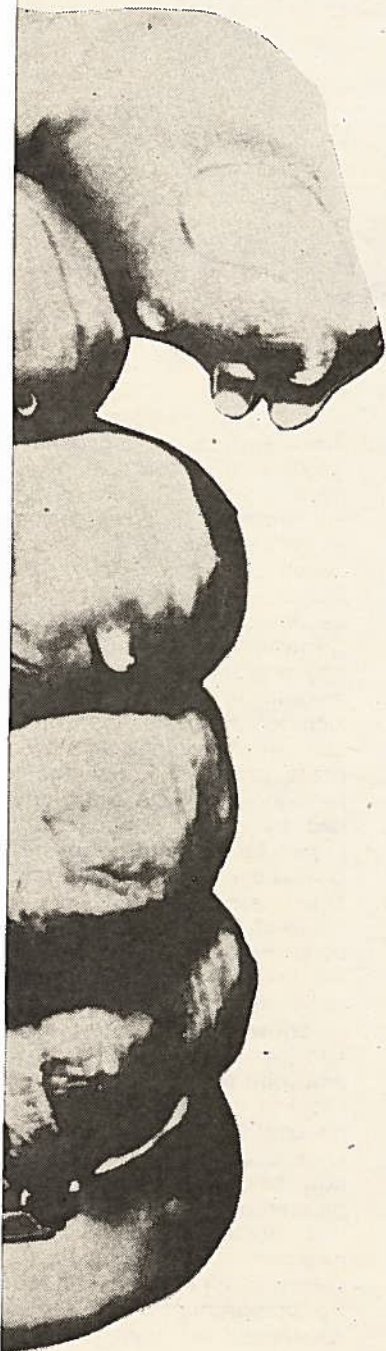
WIAŃSKI?

Należy przy tym być pewnym, iż w tym samym czasie będą działać siły przeciwko Polsce, Czechosłowacji, jednocześnie kokietując narody i republiki obecnego ZSRR. „Dziel i rządź” — ta dewiza ma doprowadzić do takich rozdźwięków między państwami i narodami słowiańskimi, jakie występują w świecie państw arabskich.

Popierając zwalczające się nurty polityczne, Niemcy będą dążyć do osłabiania tendencji jednoczenia się — w grupy o wspólnych interesach — państw słowiańskich, zwłaszcza byłych sygnatariuszy państw Układu Warszawskiego.

Można przypuszczać, że prawica niemiecka będzie usilnie dążyć do powrotu jak największej liczby potomków byłych uchodźców w celu zasilania istniejącej już mniejszości niemieckiej. Pozwoliłoby to tej mniejszości swobodnie nabywać ziemię (jeden z trzech czynników gospodarowania), wprowadzać poprzez nią znaczny kapitał (drugi czynnik gospodarowania), a także bez ograniczeń korzystać z pracy polskiego obywatela. Znając istotę spółek prawa handlowego, łatwo zauważyć, że właścicielem zysków będą Niemcy. Polacy będą głównie tanią siłą roboczą. Silna ekonomicznie mniejszość niemiecka stanie się wtedy potężnym instrumentem oddziaływania politycznego na rządy tych państw, w których odniosą znaczne sukcesy ekonomiczne.

Przed taką, naturalną przecież ekspansją ekonomiczną, a następnie polityczną Polska i Czechosłowacja — w ramach sojuszu państw słowiańskich — musiałyby spełnić rolę buforu. Sojusz słowiański powinien także korzystać z tego międzynarodowego kapitału,



Kiedy Platon zdefiniował człowieka jako „zwierzę na dwóch nogach” — Diogenes miał mu przynieść na następny wykład... koguta. Filozof poprawił definicję ogłaszając, iż człowiek to „zwierzę na dwóch nogach i bez pierza”. Na następny wykład Diogenes przyniósł... oskubanego koguta.

Anegdotę tę przypisywano nie tylko Platonowi, bo widać nie tylko on miał kłopoty z precyzowaniem pojęć. Nie wiem dlaczego przypominała mi się podczas lektury tekstu prof. Kołakowskiego „Z lewa, z prawa” zamieszczonego w nowojorskim „Nowym Dzienniku” (z 14.VIII.br.) za którąś z gazet krajowych. Pamiętając, iż Kołakowski został wysunięty na prezydenta R.P. przez jednego z byłych, ale głośniejszych poetów stalinowskich, Woroszyńskiego — tekst o prawicy i lewicy przeczytałem z dużym samozaparciem. W artykule swoim Kołakowski:

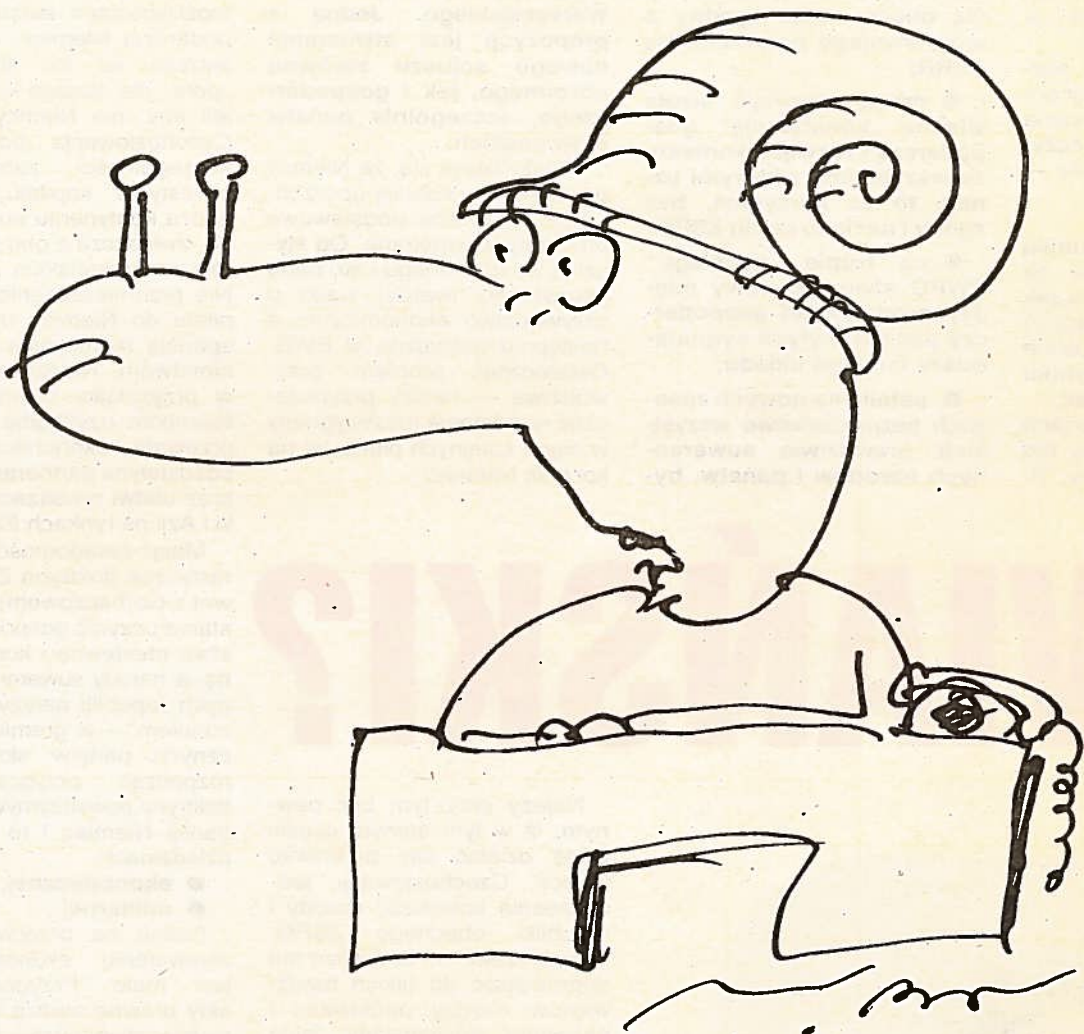
1. Szkicuje rodowód lewicy i prawicy odwołując się do XIX-wiecznych podziałów, do sprawy Dreyfusa, którego broniła lewica, do walki o ustawodawstwo pracy, swobodę druku i wyznania — o które to swobody walczyła również lewica, będąca „dalszym ciągiem Oświecenia”. Ponieważ pojęcia lewicowości i prawicowości skonstruowane zostały jako sprzeczne, wykluczające się nawzajem — czytelnik musi odnieść wrażenie, że prawica była zawsze i wszędzie wrogiem swobód obywatelskich wrogiem wrogów antysemityzmu itp.

2. Ukazuje zmianę sensu pojęć patriotyzm i nacjonalizm, przypominając, że „za czasów stalinowskich patriotyzm polski polegał na tym, żeby kochać Związek Sowiecki a wszystko inne było potępiania godnym nacjonalizmem; później patriotyzm polegał na tym, by nienawidzić Niemców i Żydów (w różnych proporcjach, zależnie od etapu) a o nacjonalizmie niewiele było słyhać, zawsze jednak do natury patriotyzmu należała zasada, iż partii oraz pana sekretarza aktualnego bez szemrania trzeba słuchać.”

Ponieważ tak zdefiniowanymi pojęciami patriotyzmu i nacjonalizmu manipulowała propaganda partyjna filozof ma do wyboru albo przywrócić im im „czyste”, neutralne znaczenia, albo wykorzystywać nieskompromitowane przez PZPR pojęcie nacjonalizmu, odsuwając na bok „zapaskudzone” przez komunę patriotyzm. Drugie z rozwiązań było o tyle kuszące, że w różnych okresach za nacjonalizm potępiani byli przez zamordystów politycznych Piłsudski, przez zamordystów literackich w rodzaju tow. Żółkiewskiego — Krasiński, przez zamordystów filozoficznych w rodzaju tow. Schaffa — Brzozowski i Abramowski. Mało tego za

odchylenia prawicowo-nacjonalistyczne został zapuszkowany Gomułka — jego uwolnienie i cały „polski Październik” 56 roku były niejako rehabilitacją tej postawy. Uznanie nacjonalizmu wynika więc z logiki artykułu Kołakowskiego. Filozof dokonuje jednak zaskakującej wolty i —

3. Odróżnia na nowo pojęcie patriotyzmu i nacjonalizmu, łącząc pierwszy z „mentalnością otwartą” wyznającą zasady tolerancji, również obywatelskiej, dyskusji racjonalnej, drugi zaś z „mentalnością zamkniętą” — plemienną, szowinistyczną, ksenofobiczną, która „chce utwierdzać byt plemienny głównie przez agresję i nienawiść do innych” oraz „wierzy, że wszystkie niebezpieczeństwa i biedy narodu są wynikiem spisku obcych plemion”. Nietrudno zauważyć, iż tak rozumiane pojęcia dobrego patriotyzmu i złego nacjonalizmu wprowadzone zostały z pojęć dobrej lewicy i złej prawicy. Przy tak arbitralnym zdefiniowaniu pojęć filozof z góry narzuca czytelnikowi uznanie dla patriotyzmu skojarzonego z lewicą i potępienie nacjonalizmu skojarzonego z prawicą. I tu jest polski kogut oskubany! Zwłaszcza jeśli przypomnieć, iż lewicowy niewątpliwie Kołakowski został wysunięty na prezydenta przez poetę równie lewicowego, aktywistę ROAD-u. O lewicowości ROAD-u zaś wątpić nie należy: prócz Woroszyńskiego, który pisywał poematy ku czci uznającej się za lewicową bezpieki (poemat pt. „Czuwającym w Noc No-



Rozdwojona

woroczną”), organizacji tej przewodzi m.in. Międzyrzecki, który napisał poemat ku czci Największego Lewicowca Wszeczczaśców — Stalina (poemat „Marzec 1953”).

* * *

Przejdźmy jednak do spraw poważniejszych niż ROAD, w którym zresztą jest kilku działaczy nie obciążonych kolaboracją ze stalinizmem, zwłaszcza wśród tych najmłodszych, 47-letnich aktywistów. Po przeczytaniu artykułu Kołakowskiego założyłem, że filozof popełnił po prostu parę błędów w definiowaniu postaw współczesnych Polaków (zwłaszcza błąd zwany „zatrutą studnią”) i zacząłem się zastanawiać nad przyczyną tych błędów. Myślę, iż biorą się one głównie z mechanicznego przenoszenia pojęć wypracowanych na innym gruncie, opisujących sytuacje jedynie analogiczne — a z logiki wiadomo, że rozumowanie analogiczne należy do najbardziej zawodnych. Gdyby w opisie lewicy i prawicy Kołakowski nie zaczynał od czasów Dreyfusa lecz cofnął się do epoki, gdy pojęcia te rzeczywiście powstały (a była to jego ulubiona epoka, Oświecenia...) musiałby przyznać, iż kategorie lewicy i prawicy powstały dosyć przypadkowo. Zdarzyło się podczas na-

cjonalistycznej i internacjonalistycznej Rewolucji Francuskiej, że deputowani o bardziej radykalnych poglądach usiedli — z punktu widzenia przewodniczącego — po lewej stronie sali. Do cech konstytutywnych tej lewicy, oprócz siedzenia należały dwie: że „lewica” głośniej krzyczała od „prawicy” i że (co łączy się z cechą poprzednią) przeważnie domagała się gilotynowania wszystkich, którzy myśleli inaczej — co stanowi przyczynek do sławionej przez prof. Kołakowskiego tolerancyjności lewicy. Już wtedy widać było względność obu tych pojęć: La Fayette, który na początku był na skrajnej lewicy, nie zmieniając poglądów przesunął się w stronę prawicy i wylądowałby niechybnie na szafocie, gdyby nie zwał na emigrację jako czarna reakcja. Gdy wrócił w 1800 r. — znów znalazł się na lewicy... I to jest pierwszy polityczny wymiar obu pojęć, któremu na imię radykalizm. Lewicowość oznacza na ogół dążenie do przewrotu i chęć zdobycia władzy — prawicowość chęć jej zachowania. Anglicy umówili się kiedyś, iż po prawej stronie parlamentu zasiadali zwolennicy władzy, po lewej — opozycja Jej Królewskiej Mości. Po przegraniu wyborów władza zamieniała się miejscami z opo-

zycją, lewica stawiała się prawicą. Było to możliwe do czasu i tylko w kraju tak demokratycznym jak Anglia. Na ogół jednak zaczynały obserwować zrastanie się partii z etykietką tak silnie, iż nie chce i nie może jej się pozbyć bez względu na usadowienie względem władzy. Niemalże wpłynęły na to powiązania międzynarodowe, udział w różnych „międzynarodówkach” itp.

Historycznym lecz aktualnym do dzisiaj przykładem absurdalnego pomieszania pojęć były Niemcy. W pewnym momencie „lewicowość” zrosła się tam z socjaldemokracją, „centrum” z katolicyzmem, a „prawicowość” z monarchizmem. Gdy pojawiły się ruchy skrajne, jak byśmy dziś powiedzieli „lewackie” — nisza ekologiczna lewicy była już zajęta, mało: tłoczyli się tam już socjaldemokraci z komunistami, a jedni i drudzy wymyślali wszystkim swym wrogom od „prawicy”. Gdyby NSDAP powstała przy braku socjaldemokracji prawdopodobnie zajęłaby jej miejsce na lewicy jako dopełnienie bliźniaczo jej podobnej komuny. Hasła miała populistyczne, w nazwie socjalizm, tyle że „narodowy” i była partią pracy. Cóż kiedy miejsce lewicy było zajęte, więcej luzu było po prawicy... Nie trzeba w tym miejscu przypominać, że po zdobyciu władzy zarówno hitlerowcy jak i komuniści, zarówno w

wszyscy inni są lewicowcami, bo chcą obalić istniejący socjalizm i wprowadzić w jego miejsce kapitalizm, zwany systemem wyzysku człowieka przez człowieka. — Paradoks ten nieco zblednie kiedy sobie uświadomimy, że tak naprawdę to w Polsce nie było socjalizmu. Był komunizm, który niektórzy utożsamiali z kapitalizmem państwowym, a który był w istocie kapitalizmem kastowym, ściślej mówiąc: gangsterskim. Właścicielem dóbr była grupa aparatczyków — tyle że właśnie jako grupa, w sensie kolektywnym, nie zaś jako zbiór jednostek w sensie dystrybucyjnym. Wyrzucenie z grupy oznaczało utratę przywilejów, skreślenie z listy właścicieli PRL. Prócz własności sprawowanej grupowo komuniści dorobili się także „działek przyzgodowych” w postaci willi, dachy, pieczarkarni i smażalni ryb. Jeśli uznać za lewicowców przeciwników tego porządku, rzeczników „odkradzenia ukradzonego” to konsekwentnie trzeba będzie uznać program lewicowy, żądanie prywatyzacji dóbr państwowych i upaństwowienia dóbr prywatnych jednocześnie. Kryterium ekonomiczne przemieni się w moralne. Konsekwentni lewicowcy muszą żądać odebrania dóbr byłych stalinowców — nie wyłączając liderów współczesnej „lewicy laickiej” — nawet jeżeli złodziejami nie byli oni, ale ich ojco-

jako model poezji urzędowej stalinizmu; przelicytowują go jeszcze bardziej stalinowscy twórcy przy pomocy jeszcze bardziej „lewicowych” chwytów. Ważyk i Wat wzbogacają poezję urzędową chwytami rodem z futuryzmu. Woroszyński i Stucki sięgną wprost po pomysły Majakowskiego, Wirpsza i Międzyrzecki w pochwałach stalinizmu będą się posilkować chwytami rodem z awangard niemieckiej i francuskiej. Lewicowość obróci się we własne przeciwieństwo. W tej sytuacji lewicowcami okazują się nagle młodzi twórcy związani z PAX-em — Bryll, Grochowiak czy Herbert, którzy ukłasyfikowano modelowi poezji stalinowskiej przeciwstawiają wiersze rozwichrzone, pozbawione i stron i rymów. Po latach ten rozwichrzony wzorzec staje się obowiązujący na tyle, że obecnie aktem odwagi jest pisanie wierszy stroficznych.

W dziedzinie religijnej, w makroskali lewicowość kojarzy się z herezją, prawicowość z ortodoksją. Ale i tutaj widzimy rozwój aż do samozaprzeczenia: katolicyzm uchodzący za religię ortodoksyjną, klasyczną był przecież najpiękniejszą herezją w judaizmie ...

* * *

Nie trzeba mnożyć przykładów by udowodnić, że pojęcia „lewi-

nie chwytła istoty patriotyzmu i nacjonalizmu, lecz podstawia w ich miejsce pojęcia lewicy i prawicy, których też zresztą nie definiuje. Zamiast porównania patriotyzmu z nacjonalizmem mamy w wywodach profesora najczęściej porównanie złego, wynaturzonego patriotyzmu z „dobrym” i złego, wynaturzonego, nacjonalizmu z „dobrym” nacjonalizmem. Ale tylko ten dobry nacjonalizm i dobry patriotyzm nazwane są patriotyzmem, wynaturzenia obydwu — nie wiadomo dlaczego — otrzymują wspólne miano nacjonalizmu. Nie wiem czy rodzący się pod hasłami demokracji XVIII wieczny nacjonalizm Amerykanów można uznać właśnie za antydemokratyczny, antytolerancyjny itp. Wątpliwe też, by wszystkie ruchy narodowo-wyzwoleńcze np. w Afryce, ruchy niewątpliwie nacjonalistyczne można uznać za odruchy plemiennej nienawiści. Nie sądzę wreszcie, by godny był potępienia nacjonalizm Żydów, który pozwolił im zachować tożsamość narodową w rozproszeniu.

— Jednym z podstawowych błędów sztuki definiowania jest tzw. „zatruta studnia”. Błąd ten polega na „zatruciu” jakiegoś pojęcia nim ktokolwiek się z niego napije, nim zapozna się z jego rzeczywistą treścią. W tym wypadku zatrute zostały dwa pojęcia: „prawicy” i „nacjonalizmu”. „Zatruta studnia” jest drugim błędem popełnionym przez Kołakowskiego. Ale czy tylko błędem? — zaczynam mieć wątpliwości. Ten „błąd” okazuje się niezwykle przydatny w walce politycznej, w walce na słowa, w grze na emocjach, sentymentach i resentymentach.

Jako „słuszne”, wręcz jedynie słuszne (skąd pamiętamy te jedynie słuszne słowa ...) przedstawione zostały postawy „lewicy” i „patriotyizmu” określone tyleż na wewnętrznym, co na zewnętrznym użytek jako tolerancyjne, „otwarte” i wolne od antysemityzmu. Z góry natomiast zostały zatrute i zaplute pojęcia „prawicy” i „nacjonalizmu” — bez względu na to, czy się w Polsce ruchy o takim programie pokażą i co w tym programie umieszczą. A przeciw tradycyjnie związana z Kościołem prawica niewątpliwie odwoła się do nauki społecznej Jana Pawła II i do chrześcijańskiego personalizmu. Przy okazji warto zauważyć, że nie znający zbyt dobrze stosunków krajowych prof. Kołakowski wpada w dość zabawną pułapkę. Nie wątpię, że pisząc o „lewicy” i „patriotyźmie” ma na myśli ugrupowanie tzw. „lewicy laickiej” skupione wokół Geremka czy Michnika. Ale używając zbitki „lewicy” z „patriotyżmem” mimo woli reklamuje Porębę, Krzywobłocką i całe Zjednoczenie Patriotyczne „Grunwald”, ta bowiem frakcja używała jako transparentu samookreślenia „lewica patriotyczna”. Śmieszne

dokończenie na str. 13

logika czy moralność

ZSRR jak i NRD, okazywali się prawicowymi do przesady. Tyle że komuniści mordując opozycję nazywali ją prawicową, hitlerowcy zaś — lewicową. Przejdźmy jednak do spraw bardziej współczesnych.

1. Gdyby przyjąć kryterium polityczne i uznać za podstawę różnicowania prawicy od lewicy ich stosunek do władzy — wypadłoby uznać, że prawicą są ci w Polsce, którzy już rządzą a więc Jaruzelski z Mazowieckim i Kuroniem, za lewicę dążących do władzy Wałęsę i Moczulskiego. Żeby było weselej, na lewicy znalazło się lewicowe Stronnictwo Narodowe, drugie po KPN-ie zgrupowanie pozaparlamentarnej opozycji, na prawicy obok naczelnego prorządowej „Gazety Wyborczej” zasiada tylko jeden, za to całkiem lewicowy endek Olek Hall. Kryterium polityczne nie jest jedyne, lecz zastosowanie pozostałych wcale nie upraszcza problemu.

2. Gdyby przyjąć kryterium ekonomiczne i uznać za podstawę różnicowania podział dóbr — za lewicowca należy uznać kogoś kto dąży do zmiany ustroju gospodarczego, za prawicowca zaś obrońcę istniejącej struktury. I tu paradoks: w Polsce nie ma prawicy z wyjątkiem Urbana,

wie, oni zaś tylko korzystali z owoców przestępstwa.

Za interesujące, lecz również nie wyjaśniające sprawy należy uznać kulturowe kryteria podziału np.:

3. W dziedzinie obyczajowości lewicowość kojarzy się z przekraczaniem pewnych norm, z prowokacją ale i z postępowaniem — prawicowość z przestrzeganiem tradycji, z demonstracyjną czasami religijnością. W odniesieniu do polskich realiów kryterium to jednak zawiedzie. Bo za kogo uznać np. Kuronia, który w telewizyjnej dyskusji z Siłą-Nowickim deklaruje się jako pobożny zwolennik nauki społecznej Jana Pawła II, w rozmowie z rabinem Weissem (w „Gazecie Wyborczej”) jako indyferentny lewicowiec... Mało tego: na naukę społeczną papieża powołuje się „wódz” jednego z pomniejszych PPS-ów — Jan Józef Lipski. W dziedzinie twórczości kulturowej lewicowość kojarzy się z awangardą, eksperymentem, romantyzmem, prawicowość z wiernością wypróbowanym regułom, klasycyzmem, więc i poniekąd z ulubionym przez Kołakowskiego Oświeceniem. Poznornie jest to proste, ale... Romantyczny i lewicowy model poezji Broniewskiego — zostaje przez niego samego narzucony

cy” i „prawicy” niezbyt dobrze opisują rzeczywistość polską — ta sama organizacja w rodzaju ROAD-u czy Centrum pod jednym względem będą lewicowe, pod innym prawicowe, ba, ten sam człowiek w rodzaju Kuronia czy Geremka w ciągu kilku lat życia był kilkakrotnie i prawicowym i lewicowym. W tej sytuacji prof. Kołakowski mógł obydwie te pojęcia odrzucić, albo — używając ich — za każdym razem podawać kontekst historyczny, informować przeciwko czemu jest dana „lewica”, czego broni aktualna „prawica” itp. Kołakowski wybrał jednak inną drogę: definicję przez opis i to opis tak niesprawiedliwy, że przypominający oskubywanie biednego polskiego koguta tylko po to, by jego piórkami przybrać „lewicę”. Lewicowość skojarzona jest ze wszystkim co sympatyczne, z tolerancją, swobodami politycznymi i patriotyzmem — prawicowość z obskurantyzmem, nienawiścią plemienną i nacjonalizmem. I odwrotnie: patriotyzm skojarzony jest z tolerancją i tym wszystkim, co lewicowe, nacjonalizm z obskurantyzmem, szowinizmem i tym wszystkim co prawicowe. Popelnia tu Kołakowski dwa błędy jednocześnie:

— Używając nieprecyzyjnych, opisowych definicji Kołakowski

W dniu 19 stycznia 1945 roku dowódca Armii Krajowej gen. Leopold Okulicki „Niedźwiadek” wydał rozkaz o jej rozwiązaniu. Druga część rozkazu głosiła: „Żołnierze Armii Krajowej! Daję Wam ostatni rozkaz. Dalszą pracę swą i działalność prowadźcie w duchu odzyskania pełnej niepodległości Państwa Polskiego i ochrony ludności polskiej przed zagładą. Starajcie się być przewodnikami narodu i realizatorami niepodległości Państwa Polskiego. W działaniu tym każdy z Was musi być dla siebie dowódcą”.

W tym czasie Polska opanowana już była w znacznym stopniu przez Armię Czerwoną oraz przeprowadzoną przez nią nową czerwoną władzę.

Nowa władza rozpoczęła od terroru i pacyfikacji społeczeństwa polskiego.

Generał **L. Okulicki** stał się wkrótce jedną z pierwszych ofiar komunistów, zamordowany najprawdopodobniej w więzieniu w Moskwie 24 grudnia 1946 r. Żołnierze Armii Krajowej byli prześladowani, aresztowani i bestialsko mordowani w majestacie „prawa”, przez zbirów pochodzenia krajowego oraz importowanych ze Wschodu.

Jeden z ówczesnych czerwonych bonzów **E. Ochab**, przyznał po wielu latach w swoich wspomnieniach: „Myśmy wiedzieli, że jesteśmy w mniejszości..., że w Polsce nikt nas nie chciał i nie oczekiwał...”

Nowa władza zaczęła więc od tępienia wrogów i zdobywania zwolenników.

Okazało się, że jedni i drudzy byli dość dokładnie zewidencjonowani.

Szybko więc zrehabilitowano

się nieliczne przypadki, że żołnierze AK przechodzili na stronę wroga — o ileż łatwiej było rozgrzeszyć własne sumienie idąc na współpracę z „rodzimą” władzą.

Pamiętamy, że wiele podłości i działań przeciw narodowi polskiemu odbywało się w PRL pod białymi ortami i przy dźwiękach hymnu narodowego. Począwszy od procesów przed słynnymi Sądami Wojskowymi, aż do stanu wojennego.

Znalazła się więc pewna ilość żołnierzy Armii Krajowej, którzy w tym czasie, gdy ich dowódcy i koledzy ginęli w więzieniach lub ratowali życie emigrując z kraju — przeszli na stronę czerwonych wstępując do komunistycznej partii.

Dziś ludzie ci tłumaczą się, że „mieli przekonania socjalistyczne”, że „że mieli umysł zniewolony” lub wręcz pozują na Wallenrodów.

Niejednego z nich pali dziś na sercu miejsce po czerwonej legitymacji...

Nie chcę prześladować dziś byłych czerwonych, ani urządzić „polowań na czarownice”.



Drażliwy problem żołnierzy Armii Krajowej

„Volksdeuschów”, bo byli to zdaniem władzy porządni ludzie, a przeszli na stronę wroga tylko dlatego, że chcieli lepiej żyć.

Byli to więc potencjalni najlepsi zwolennicy nowej władzy, tym bardziej, że ta ostatnia odpuszczała im wszystko lekką ręką.

Wrogowie czerwonych władców też byli dobrze znani. Byli to przedwojenni polscy działacze polityczni, żołnierze powracający z zachodu oraz żołnierze Armii Krajowej.

Ci potencjalni przeciwnicy czerwonej władzy udowodnili już swoim dotychczasowym postępowaniem, że gotowi są z narażeniem życia walczyć o niepodległość Polski.

Tych wrogów, zdaniem nowej władzy trzeba było jak najszybciej zniszczyć... lub kupić.

Opluwano i wyszydzano historię Polski niepodległej, jej bohaterów narodowych, Armię Krajową nazywano „zapłutym kartem reakcji”, prześladowano i mordowano jej żołnierzy. Jednocześnie chętnie widziano AK-owców, którzy wypierali się swojej działalności niepodległościowej i przystępowali do współpracy z czerwonymi.

Armia Krajowa nie składała się oczywiście wyłącznie z aniołów. Jeszcze w czasie wojny zdarzały

Tych, którzy dokonywali przestępstw na szkodę Polski — niech osądzą niezawisłe sądy. Pozostali niech zostaną sami ze swoimi sumieniami.

Nie przyjmuję jednak do wiadomości twierdzenia, że wielu porządnym ludzi należało do PZPR-u, bo „musieli”! Nikt nie musiał należeć do partii — tylko chciał! Chciał należeć, bo miał podobne przekonania bo odpowiadały mu stosowane przez komunistów metody, bo widział w tym korzyści osobiste.

Dziś nie mamy potrzeby przebiegania byłych towarzyszy partyjnych, dzieląc ich na złych i dobrych. Nie trzeba ani „wybierać mniejszego zła”, ani szukać „socjalizmu z ludzką twarzą”. Wybrali PZPR, więc niech dziś nie przypominają sobie jakimi to byli kiedyś dzielnymi żołnierzami Armii Krajowej i niech nie wstępują teraz do naszego Związku.

Do Związku tego należą dziś również koledzy emigranci, którzy 45 lat spędzili poza krajem, gdyż właśnie przez czerwonych musieli uchodzić z ojczyzny.

Jesteśmy zobowiązani dziś tym naszym kolegami emigrantom zapewnić w Związku minimalny komfort psychiczny. Musimy być pewni, że nie znajdują się w naszym Związku ludzie, którzy ten czas wielkiej próby spędzili z

czerwonymi legitymacjami w kieszeni.

To nie jest chęć prześladowania ludzi o innych poglądach. To tylko troska o czystość środowiska naszego Związku, aby nie stał się on wspólnym workiem kombatanów na wzór nieszczęsnego ZBoWiDu.

Dziś chętnie używa się wygodnego słowa wytrycha — „pluralizm”, którym próbuje się wiele kamuflować i „zakłajstrować”. Zdarzają się też wręcz śmieszne sytuacje, gdy nieco przyciśnięci byli towarzysze krzyczą, że stosuje się w stosunku do nich „bolszewickie metody”.

Te metody, które nam z zachwytem aplikowali przez 45 lat, stały się dziś w ich ustach najobrzydliwszym epitetem! No i groźba najstraszniejsza — „polskie piekło”!

Użyty przez naszego obecnego premiera ten nieszczęsny zwrot, stał się dla czerwonych ulubioną zasłoną dymną. Ja natomiast, po przeżyciu w mojej biednej ojczyźnie 45 lat „bolszewickiego raju” zgotowanego nam przez czerwonych — zupełnie nie obawiam się paru chwil „polskiego piekła”! Może nie koniecznie piekło, ale „polski czyszciec” będzie napewno nam potrzebny!

Dlatego jeszcze w grudniu

1989 roku skierowałem do Zarządu Głównego naszego Związku wniosek o wprowadzenie do statutu paragrafów, które zobowiązują do szczegółowej weryfikacji kandydatów, tak pod względem ich działalności w AK, jak i późniejszej działalności w ciągu 45 lat PRL-u.

Weryfikacja taka powinna umożliwić wstępowanie do Związku wszystkim byłym żołnierzom AK, którzy po 1945 r. należeli do organizacji działających na szkodę fizyczną i moralną Armii Krajowej i jej żołnierzy.

Za organizację takie należy uznać nie tylko NKWD, UB, SB i Informację Wojskową, ale także PPR a następnie PZPR. Przecież to właśnie partia komunistyczna była inspiratorem wszystkich działań wymierzonych przeciw Armii Krajowej.

Dlatego uważam, że Kierownictwo naszego Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej, jako dowództwo organizacji wojskowej, ma nie tylko prawo, ale obowiązek zapytać każdego z nas: „Skąd wracasz do nas Żołnierzu?”. „Czy wykonałeś z honorem ostatni rozkaz dowódcy?”.

WIESŁAW KIELCZEWSKI ps „VIS”
„Światowy Związek
Żołnierzy Armii Krajowej”

to, albo i nie, lecz przez część czytelników krajowych Kołakowski może zostać odczytany jako świeżo nawrócony rzecznik „Grunwaldu”.

* * *

Artykuł Kołakowskiego nie tylko potęguje panujący na rynku politycznym bałagan pojęciowy, lecz także prowadzi do podwójnej oceny zjawisk: nacjonalizm zły w Polsce może okazać się dobry w Afryce albo w Izraelu. By uniknąć tych konsekwencji należy prze-

Rozdwojona logika czy moralność

stać porównywać „na krzyż” dobry patriotyzm ze złym nacjonalizmem, a porównywać konkurencyjne modele patriotyzmu z patriotyzmem i nacjonalizmem z nacjonalizmem. Należy także sięgając do definicji filologicznych, językoznawczych przywrócić słowom ich neutralne znaczenia. Proponowany układ pojęć należałoby także wzbogacić o jeszcze jedno, którego brakowało w tekście Kołakowskiego. Nowe rozgraniczenie mylnych dotąd terminów przedstawiłoby się następująco:

1. **Patriotyzm** (łac. patria — ojczyzna) — w hierarchii życia zbiorowego stawia najwyższą ziemię przodków, ojcowiznę; łączy się z osiadłością, tutejszością.

2. **Nacjonalizm** (łac. natio — naród) — identyfikacja poprzez przynależność do wspólnoty, choćby wędrownej, definiowanej przez jednych jako wspólnota biologiczna, przez innych jako językowa, kulturowa itd. W tym sensie nacjonalistami byli Żydzi, zarówno ci idący dopiero ku ojczyźnie (Ziemi Obiecanej), jak i ci, którzy zachowali tożsamość w rozproszeniu. Polacy opuszczający Lwów i przenoszący się w roku 1945 do Wrocławia dokonywali trudnego wyboru między samookreśleniem „nacjonalistycznym” a „patriotycznym”.

3. **Etatyzm** (franc. l'état — państwo). To właśnie określenie uświadamia niewystarczalność dwóch poprzednich. Państwo jest sztuczną konstrukcją prawną, wynikiem — jak to się dziś modnie mówi — consensusu. Pojęcie to sygnalizuje, że jakaś wspólnota (niekoniecznie jednolita narodowo) identyfikuje się przede wszystkim z własnym dziełem — państwem; w drugiej dopiero kolejności z obszarem na jakim je wzniesiono (ojczyznę czy z pochodzeniem narodowym). Etatystami są Szwajcarzy i Amerykanie, pięknym przykładem etatyzmu była postawa emigrantów polskich wiernych rządowi Rzeczypospolitej na wychodźstwie.

Jednostki mogą przeżywać dramat wyboru — powstańcy listopadowi musieli wybrać pomiędzy pozostaniem w ojczyźnie a ratowaniem tożsamości w emigracyjnej wspólnocie narodowej. Same pojęcia nie są jednak konfliktowe: państwo oznacza dzieło, naród (na ogół) twórcę, ojczyzna jakby materię, w której twórca swe dzieło wyrzeźbił.

Przykładem takiego rozróżnienia pojęć była państwowo-twórcza ideologia piłsudczyków, z tym że twórczość odnosiła się nie tylko do narodu, lecz także przede wszystkim do jednostek. Roz-

winięciem idei etatyzmu poza dotychczasowe granice była — aktualna do dzisiaj — idea federacyjizmu. Konkurujący z piłsudczykami narodowcy popełnili błąd symetryczny do błędu Kołakowskiego: słowa naród i prawica stawiali najwyżej (Kołakowski najniżej) — i również nie starali się ich zdefiniować. Skrajna lewica z kolei odrzucała wszystkie trzy pojęcia, powtarzając za Marksem, że proletariusze nie mają ojczyzny. Prowadziło to w prostej linii do zdrady, haniebnym jej przykładem jest okres kolaboracji polskiej lewicy z sowieckim okupantem we Lwowie, w 1939–41. Na współpracę szli nawet twórcy uczestniczący przedtem w budowie polskiej kultury: Wasilewska, Ważyk, Wat, Putrament, Lec i inni. Po roku 1944 mianowani „inżynierami dusz” pchali do kolaboracji resztę polskiej lewicy. Trzeba dodać — o czym Kołakowski zapomniał — że prawica nie ma w swych dziejach tak haniebnej, kolaboracyjnej karty.

Wracając do patriotyzmu, etatyzmu, nacjonalizmu. Każde z tych pojęć jest hasłem wywoławczym całego programu, który może być lepiej lub gorzej realizowany. Jednym z kryteriów, wedle których oceniać można konkurujące modele państw jest i to na ile zabezpieczają wolność, godność i twórczość jednostek, innym — stosunek wspólnoty (narodowej czy państwowej) jest stosunek większości do mniejszości, np. etnicznych.

Same kryteria można stosować przy ocenie różnorodnych ideologii narodowych, różnych modeli patriotyzmu. Porównywanie jednak dobrego nacjonalizmu ze złym etatyzmem i nazywanie pierwszego lewicowym patriotyzmem jest zabawą niegodną filozofa. Nawet — i zwłaszcza — jeśli chce się on zrewanżować za wysunięcie jego kandydatury potetom lewicowym, którzy byli na bakier zarówno z patriotyzmem jak z logiką.

BOHDAN URBANKOWSKI

Na plener!

Rozmowa z RYSZARDEM STRYJECKIM — rzeźbiarzem

● Zanim plastycy ochłonęli po kwietniowej „czarnej sobocie”, kiedy Sejm zatwierdził ustawę, na mocy której pracownie twórcze stały się lokalami użytkowymi, już przygotowano dla nich kolejne wiaderko zimnej wody — drugą wersję projektu Ustawy Prawo mieszkalne.

— Po pierwsze, nigdy nie pogodził się z takim brzmieniem ustawy o prawie lokalowym, jakie zatwierdził Sejm. Uważamy, że krótszy żywot ma obecny Sejm i prawo lokalowe niż związek (ZPAP — dop. autorki) i środowisko twórców. Cały czas mamy zamiar w przyszłym roku przedstawić nowemu Sejmowi nasze propozycje. Uprzedzono nas, że z resortu ministra Paszyńskiego wyszedł projekt ustawy, o której pani mówi. W obowiązującej ustawie, w akapicie dotyczącym pracowni plastycznych — o to była poprzednio największa walka w Sejmie i Senacie — stwierdzono, że za lokal użytkowy nie uważa się pracowni plastycznej, jeżeli jest połączona z mieszkaniem lub jeśli twórca nie ma w danej miejscowości samodzielnej pracowni pod innym adresem. W nowym prawie lokalowym minister Paszyński chce przeforsować zapis, w którym nie ma już tego zastrzeżenia. Co więcej, stwierdza się, że nowy projekt powstał jakoby na wniosek środowisk twórczych. Jest to nadużycie ze strony ministra. Zresztą już wcześniej „przylapałem” go na nieuczciwej argumentacji opublikowanej w „Gazecie Wyborczej”. Nigdy ani ja, ani „Gazeta Wyborcza” i związek nie otrzymaliśmy żadnego sprostowania od ministra.

● Czego dotyczyła nieuczciwość ministra Paszyńskiego?

— Prawa do wykupu pracowni plastycznych. Minister Paszyński zapewniał Senat, że większość plastyków wykupiła pracownie i w związku z tym problem prawie w ogóle nie istnieje. Otóż w tamtych czasach obowiązywał (we wszystkich sektorach) zakaz wykupywania lokali użytkowych, m.in. pracowni. Urzędujący minister resortu nie mógł o tym nie wiedzieć. A teraz rzecz jeszcze bardziej podła z jego strony, bo przypisuje nam inicjatywę, jakobyśmy sami działali przeciw sobie.

● Jak powinna brzmieć ustawa, która nie działałaby przeciwko plastynom?

— Idealnym byłby zapis stwierdzający, że nie uważa się za lokal użytkowy pracowni plastycznej. Rozbudowa tego zdania stwarza okazję do wielorakich interpretacji i nadużyć.

● Realnie i konkretnie: jaki możecie mieć wpływ na najbardziej nieludzkie ze znanych mi praw mieszkaniowych?

— Bardzo mały. Ministerstwo Kultury zawsze o wiele za późno dostaje do konsultacji wszelkie projekty. A związek jeszcze później, otrzymuje je z ministerstwa.

● Co robi resort kultury, aby wam pomóc?

— Idzie „ręka w rękę” z resortem budownictwa.

● Czyli jest przeciwko wam?

— Minister Cywińska uważa za swoją misję dziejową lojalność wobec rządu, który reprezentuje. Losy środowiska są dla niej wynikiem postanowień „na górze” a nie przedmiotem jej starań. Jeśli obecny projekt usta-

wy zostanie zatwierdzony, ustawę wniesiemy pod rozważę nowemu Sejmowi. Nie możemy ustąpić. Bo nie chodzi już o losy kilkuset ludzi, ale o los kultury plastycznej w kraju.

● Przepadło już wiele pracowni po zmarłych artystach. Nie ma również gdzie przechowywać ich spuścizny. Spadkobiercy są zmuszani do natychmiastowego opuszczenia lokali. Powstała paradoksalna sytuacja: dzieł niezujących twórców nie wolno wywieźć za granicę, wolno zaś je zniszczyć, usuwając dorobek całego życia. Na bruk.

— Jest to sprawą ogromnej wagi. Tylko nielka część środowiska, liczącego mniej więcej 20 tysięcy osób, posiada pracownie. Mamy około dwóch tysięcy pracowni w całym kraju. Żaloszna liczba. Te pracownie przeważnie powstawały z adaptacji strychów, poddaszy i suterren kosztowne wieloletniej, ciężkiej pracy plastyków. Uzyskiwały standard znacznie wyższy niż osiąga się w mieszkaniach kwaterynkowych. Do stanu wojennego chroniły nas przepisy, na mocy których nie wolno było przeznaczając na inne cele lokali, znajdujących się w gestii resortu kultury. Pracownie po zmarłych kolegach obejmowali plastycy czekający w kolejce. Obecnie nie honoruje się starych przepisów i bez skrupułów przekwalifikowuje pracownie po zmarłych. Ani ministerstwo, ani władze dzielnicowe nie robią nic, aby nam dopomóc — wręcz przeciwnie — mają szansę na zdobycie lokalu dla siebie.

● Nie ma się czemu dziwić, skoro na forum Sejmu poseł Małachowski osmielił się stwierdzić, że to pijana papuga rozdawała pracownie plastynom.

— Nikt nigdy nie rozdawał plastynom pracowni. Na zaadaptowanie pustej rudery, nie przynoszącej żadnego czynszu, wyrażały zgodę urzędy dzielnicowe. Plastik miał wówczas prawo zainwestować miliony, aby samemu sobie wybudować pracownię. Oczywiście, pierwszeństwo miał wydział handlu i jeśli lokalu nie chciał szewc ani krawiec, czasami (!) przyznawano je plastynom.

● Są kraje znakomicie funkcjonujące bez Ministerstwa Kultury. Może i u nas stało się niepotrzebne?

— Strukturę ministerstwa zorganizowano w czasach komunistycznych. Ministerstwo miało być centralą, która nakazuje, zabrania lub zezwala. I to się nie zmieniło. Cóż z tego, że zmieniło kilka osób na różnych stanowiskach, skoro pozostała stara struktura, i większość urzędników? Sprawdza się klasyczna zasada opisana przez Parkinsona, że ministerstwo doskonale służy do wewnętrznego obiegu papierów. Czy należałoby zlikwidować resort kultury?

Myślę, że w tak trudnym i przejściowym okresie, jaki przeżywamy, ministerstwo jest niesłychanie potrzebne, wiele bardziej niż w minionym. Obecnie, wśród wielu zagrożeń ekonomicznych, prawnych i administracyjnych, opieka nad światem kultury jest wręcz niezbędna. Ale resort powinien służyć interesom środowisk twórczych, kulturze narodowej, nie zaś własnej wygodzie.

Rozmawiała: JAGA REY



PIĄTEK 30.11.

- PROGRAM I
12.00-15.55 Telewizja Edukacyjna
15.55 Program Dnia
16.00 Wiadomości
16.10 Video-Top
16.20 Dla Młodych Widzów — Kasetka TDC

SOBOTA 01.12.

- PROGRAM I
9.10 Wiatrak oraz film z serii „Przygoda na Kit-irze”
10.40 Na zdrowie — program rekreacyjny

NIEDZIELA 02.12.

- PROGRAM I
9.00 Teleranek oraz film „Niebezpieczna zotaka” (13)

- 15.50 W Starym kinie: „Tajemnica starego rodu”
17.15 Telexpress
17.30 Reportaż

- PROGRAM II
9.10 Jutro poniedziałek
9.30 Program Lokalny
10.00 CNN

WTOREK 04.12.

- PROGRAM I
15.55 Program Dnia
16.00 Wiadomości popołudniowe
16.10 Video-Top

- 17.55 Uniwersalny kurs j. ang.
18.00 Program Lokalny
18.30 Modlitwa Wieczorna
18.50 Program dokumentalny

ŚRODA 05.12.

- PROGRAM I
12.00-15.55 Telewizja Edukacyjna
15.55 Program Dnia
16.00 Wiadomości popołudniowe

- PROGRAM II
6.55-11.00 Telewizja Śniadaniowa
11.00 Burda — kursy kroju i szycia
11.15 „Córy słońca” — serial austral.

- 21.55 „W labiryncie” — serial TP
22.25 Telewizja nocą
23.10 Komentarz Dnia
23.15 CNN — Headline News

- PROGRAM I
10.35 To się może zdarzyć
12.00-15.55 Telewizja Edukacyjna
15.55 Program Dnia

- PROGRAM II
6.55-11.00 Telewizja Śniadaniowa
11.00 Burda — kursy kroju i szycia
11.15 „Wilcza góra” — film fab. prod. czechosl.

KRZYŻÓWKI (38)

- 9 przydomek księcia Józefa Poniatowskiego
władza, którą da się unieść na rękę,

PIONOWO:

- A) marka znanych samochodów niemieckich,
B) miejsce zwycięstwa wojsk Dwernickiego nad Moskalami w 1831 r.,

POZIOMO:

- 1. drzewo, z nasion którego otrzymuje się przyprawę kuchenną tzw. galękę,
2. była większa niż życie,

11x11 crossword grid with letters filled in. Row 1: S, P, M, U, S, Z, K, A, T. Row 2: S, T, A, N, K, A, O, Y, R. Row 3: O, E, N, A, R, B, U, T. Row 4: S, C, H, R, O, N, I, O, W. Row 5: Z, O, N, O, B, A, T, O, R, Y. Row 6: E, I, I, I, O, W. Row 7: K, C, G, L, I. Row 8: O, A, K, T, A, O, E. Row 9: P, E, P, I, N, A, R, E, C, Z, E. Row 10: E, E, I, O, D, K. Row 11: L, E, L, E, W, E, L, I, S, B.

Niedzie nie porobawie waleński

„Bydłęce natury mają tę wspólną cechę z naturami naiwnymi, że gwałtownie przerzucają się z ostateczności w ostateczność”.

Powyższy cytat pasuje jak ulał do wielu zjawisk naszej rzeczywistości. Przypatrzmy się jednemu z nich. W roku 1926 Robotnicza Spółdzielnia Mieszkaniowo-Budowlana rozpoczęła na Polach Bielańskich w Warszawie wznoszenie osiedla. Oczywiście robotniczego. Na obszarze jednego hektara, ograniczonego ulicami Żeromskiego i Kasprowicza, stanęło ponad trzydzieści domów jedno i dwukondygnacyjnych. W sumie ponad

W dalszym ciągu przy ulicach Kleczewskiej, Chelmżyńskiej (obecnie Płanicyńskiej) mieszkały rodziny Urbanowiczów, Banasiaków i wielu innych. Ówczesna „nomenklatura” jakoś nie garnała się do tego, by pokrętnymi drogami wypędzić klasę robotniczą z jej „Zdobyczy”. Na to trzeba było jeszcze poczekać...

Bielañscy robotnicy przetrwali do połowy lat siedemdziesiątych. Przeżyli okupację, powstanie, powojenny terror rodzimej odmiany stalinizmu. Ludzie ginęli, starzeli się, młodzi szukali własnego miejsca we własnym kraju. Domy „Zdobyczy” marniały podobnie jak ich właściciele. Kiedyś wypielęgnowane ogrody zarastały chwastami. W kraju pod rządami tak zwanej klasy robotniczej nie robiono

Nasza historia była już świadkiem rugów chłopskich, nam przypadło w udziale obserwowanie rugów robotniczych. Po co staruszkom i ich potomkom domy z ogródkami? Dla nich są nowoczesne slumsy, tyle że pionowe, a ślepe kuchnie...? No, cóż, i do nich można się przyzwyczaić. I stało się więc tak, iż większość dawnych lokatorów „Zdobyczy Robotniczej” „wyeksmitowano” do bloków, a ich następcami zostali przedstawiciele tej warstwy ludzi, która za czasów komunizmu potrafiła skutecznie walczyć o ilość zer na swych kontaktach oraz krytykować straszliwy kapitalizm pomijając skrupulatnie w potępianiu zachodnie samochody, telewizory i takie tam różne. Słowem sprytni i obrzydliwie pragmatyczni.

zcepiono mnie i nie jestem psem ogrodnika. Nie sądzę jednak, by od czasu zmiany rządu zwanej czasami zmianą ustroju tyłu nam wyrosło kapitalistów co to własną pracą i pomysłem doszło do majątku. Obecna „Zdobyczy Robotnicza” to nic innego jak „Zdobyczy Nomenklaturowa”. Ostatni mohikanie bronią się jeszcze, ale ich szanse wyglądają marnie. Tu panuje zubożecie prawo dusigroszy i posiadaczy szmalu. Przepadkowy przechodzień spacerując np. ulicą Kleczewską z powodzeniem może się nabawić choroby kesonowej. Z jednej strony szlachetne bo stare ubóstwo, a z drugiej pomniki przedsiębiorczości (nazwijmy ją „towarzyską”). Na drzwiach frontowych napisy: uwaga! zły pies. Czy wewnątrz są dobrzy ludzie?

Jak napisałem „Zdobyczy Robotnicza” powstała w ramionach ulic Żeromskiego i Kasprowicza. Pierwszą prosto można dojechać na Cmentarz Wawrzyszewski, drugą do Huty Warszawa. Obecni mieszkańcy osiedla obie te ulice omijają. Przez czterdzieści z górą lat wyhodowano nam kasty ludzi w ich mniemaniu przeznaczoną do lepszych, wyższych celów. Na tym i tamtym świecie. Robotnicy biedniejsi i popadają w marazm, noworysze atakują usiłując nam wmawiać, że to oni właśnie wprowadzają nas do Europy.

Po dawnej „Zdobyczy” niedługo pozostaną wspomnienia i legenda. Po jej obecnych „sublokatorach” tylko niesmak. Do historii nie wejdą. Tam i tak już jest tłok.

JAN TRAWIŃSKI

Rugi nomenklaturowe

309 mieszkań. Na zapleczu szeregowej zabudowy obszerne ogrody. Dogodne warunki kredytowe, sadzenie drzew i krzewów morwowych mile widziane przez „jedwabników” z Milanówka...

Był Żoliborz oficerski i urzędniczy, był także i robotniczy. Przedwojenny kapitalizm, oprócz wypijania robotniczej krwi, dbał o to by warszawscy kolejarze, tramwajarze i rzemieślnicy „żyli dostatnio a mieszkało się im wygodnie”. Naturalnie nie wszyscy byli w stanie podolać obciążeniom finansowym. Wtedy dom sprzedawano dowolnym reflektantom. Spółdzielnia upadła, majątek przejął Bank Gospodarstwa Krajowego ale... „Zdobyczy Robotnicza” pozostała.

niczego dla jej przedstawicieli — „posiadaczy”. Jednorodzinne domki kłuły w oczy nowobogackich. Za czasów premierostwa Piotra Jaroszewicza wysłano i tam także owe słynne „trójki” mające wymierzać podatek od luksusu. Nawet tego przedwojennego.

Potem noworysze spod znaku ideologii sierpa i młota ruszyli do ataku. Wszak posiadanie willi z ogrodem blisko centrum stolicy to niesamowita okazja. Apetyty zaostrzone przyplwem gotówki z czasów dekady rzekomego rozwoju zaspokajano na wszelkie sposoby. Tu łapówka, tam telefon (towarzyszu, rozumiecie). To był cel. Nabyć plac z domkiem po cenie, nazwijmy ją, przystępną.

Dzisiaj дума przedwojennej klasy robotniczej przedstawia widok zgoła tragicomiczny. Obok pochylonych ze starości i rozpacz domów powstałych w latach dwudziestych i trzydziestych wyrosły wille ozdobione antenami satelitarnymi i zmyślnymi podjazdami do garaży. Morwy wycięto zastępując je tujami. Oto do czego prowadzi zbyt gorliwe przyglądanie się amerykańskim filmom. Sądząc po samochodach należy domniemywać, że polonezami jeżdżą służące zwane obecnie gosposiami. Paniska czasami bywają ludzkie...

Nie mam nic przeciwko bogaceniu się. Raczej wprost przeciwnie. Zasz-

Roger Bambuck, niegdyś czołowy sprinter francuski, a obecnie minister do spraw sportu Paryża, proponował, by w tym roku w ogóle nie przyznawać tytułu mistrza świata samochodów Formuły 1. Kiedy już miało dojść do fascynującej końcówki rywalizacji między Brazylijczykiem Ayrtonem Senną a Francuzem Alainem Prostem, La ty nos na samym starcie przedostatniego wyścigu staranował Francuza. Inna wersja mówi, że to Prost zajeżdżał drogę rywalowi. Faktem pozostaje, że żaden nie dojechał do mety, a Senna zdobył tytuł.

Przy okazji całego rabanu wokół zderzenia obu asów Prost zapowiedział, że wkrótce ogłosi całą prawdę o Sennie, Manselli i „scuderia Ferrari”. I zrobił to, tylko nie bardzo mu wyszło. Prasa podchwyciła co ciekawsze wątki... oraz dodała własne informacje, niezbyt dla Prosta korzystne.

W 1982 r. Prost został kolegą w Stajni „Renault” René Arnoux. W czasie Grand Prix Francji niezdiscyplinowany Arnoux miał uniemożliwić, blokując go w czasie wyprzedzania, wygraną w wyścigu. W 1984 r. winien był... deszcz. Gdyby głupi deszcz nie padał, Prost wygrałby Grand Prix Monaco, zdobyłby potrzebny jeden jedyny punkt, jaki go dzielił od Niki Laudy. W 1989 r. winien był Senna, w tym roku Nigel Mansell i znowu Senna. Malutki Francuz, zdaje się, ma wokół samych wrogów.

Kłótnie między kierowcami, którzy walczą o wielkie pieniądze, ale też i swoje życie w pudełkach pędzących centymetr nad nawierzchnią z prędkościami przekraczającymi 300 km/h, są zrozumiałe. To rozgrywka wywołująca największe napięcia i trudno rywalom czasami powstrzymać nerwy. Swoją działkę dokłada kręcąca się wokół Formuły setka dziennikarzy, których za-

daniem jest podgrzewanie atmosfery wokół wielkiego cyrku.

Ale są zdarzenia, istnieją konflikty, o których bardzo trudno się dowiedzieć. Właśnie „scuderia Ferrari” słynie z takiej cenzury. Nic, o czym wiedzą w Modenie, nie może przedostać się na zewnątrz. Ale tym samym takie kąski stają się cenniejsze.

FORMUŁA I

Francuskie humory



Fot. PAWEŁ KASPRZYCKI

tów podobno brakuje Fiorio. Stąd już prosty wniosek: Prost ma być następcą Fiorio. Co oczywiście temu ostatniemu raczej nie odpowiada...

Giovanni Agnelli, szef „Fiat-Ferrari” zbyt wielkie pieniądze zaangażował w najnowszy model 640, by jakieś niesnaski popuły reklamowy sukces. Liczą się tylko zwycięstwa. Liczba incydentów dyskredy-

tujących firmę z czerwonym konikiem ostatnio wzrosła.

W czasie Grand Prix Portugalii dwa „Ferrari” zderzyły się. Mansell zupełnie spokojnie usprawiedliwił pechowy start „poślizgiem samochodu”. Prost stwierdził, że tak doświadczony kierowca jak Anglik nie powinien wygadywać bredni. Pan Agnelli zapowiedział siedzwo w tej sprawie. Kto wie, czy powrót Mansella w przyszłym sezonie do stajni „Williamsa” nie ma chyba z tymi wydarzeniami trochę wspólnego.

Coroczne wędrowki zawodników mają także podłoże placowe. Mansell ma dostawać za ledwie — tu przydałby się cudzysłów — 6 milionów dolarów, Senna wytażował 13 mln, a w przypadku Prosta padła kwota 20 milionów. Czy to prawda? W każdym razie wskazuje na stawkę, o jaką walczą ci ludzie.

ANDRZEJ SIELICKI

Mistrzowie symulacji

W Polsce dzieją się rzeczy coraz dziwniejsze. W sporcie oczywiście także. Boksera Golotę, który zdemolował parę lokali gastronomicznych, podobno posługiwał się bronią gazową a na dodatek był czynnym „uczestnikiem” innych afer postludowa sprawiedliwość postawiła w stan oskarżenia. Przepięknie z artykułu 210, paragraf 2. Za takie wyczyny sankcje przewidują kilkulatnie więzienie. Szóstego listopada miała się odbyć rozprawa sądowa we Włocławku ale się nie odbyła. Mistrz pięści i rozróby przesłał telex informujący Wysoki Sąd o chorobie i posiadaniu zwolnienia lekarskiego. Przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości wykazali złomowate zrozumienie dla złożonego „dolegliwościami zdrowotnymi „sportowca”.

W środowisku krążą plotki. Jedni twierdzą, iż wspomniany sędziwy wyjechał już z kraju, inni, że wprost przeciwnie, w Polsce przebywa ale zapadł się pod ziemię. I pod nią to właśnie czeka na możliwych protektorów i obrońców. Należy przypuszczać, że wyjdzie z podziemia jeżeli ludzie mu życzyliwi umyją ręce i wtedy powtórzy swoje wyczyny bijąc ich dotkliwie jak na mistrza pięści przystało.

Uciszone aferę z nie całkiem legalnym handlem alkoholem, wypuszczono z mamra paru generatów zaangażowanych w aferę „żelazne”, jeszcze parę rzeczy puszcza się w niepamięć. Może więc i ukreśli się też nie tyle Golocie co jego sprawie? W ogólnym rozgardiaszu, bardzo sprytnie sterowanym, wszystko jest możliwe.

Dziennikarze sportowi pobra-

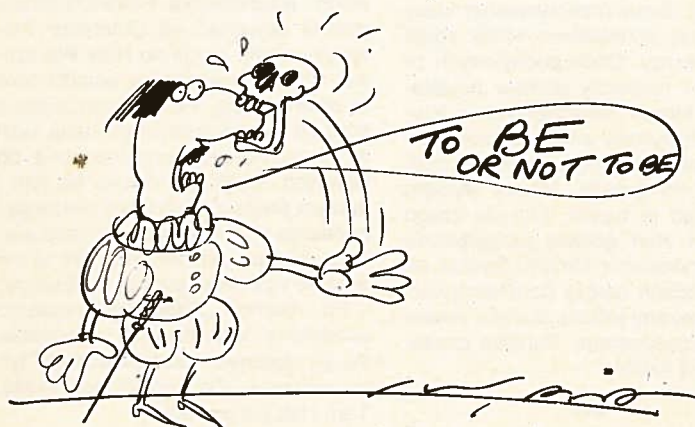
wszy z macierzystych redakcji spore sumy udali się do Włocławka na proces Andrzeja Goloty i pocałowali klamkę pomieszczenia zwanego wymiaru sprawiedliwości. Jak już napisałem na innej, pasjonującej procesy raczej się nie zanosi i redakcyjni księgowi oddychają z ulgą.

Coraz dziwniej w naszym kraju. O tym co ludzi rzeczywiście interesuje pisze się mało albo nic. To okrutne. Najpierw rozbudzić emocje i zainteresowanie a potem cisza... Ja Andrzeja Goloty nie potępiam całkowicie, biorąc pod uwagę fakt, iż o wiele groźniejsi przestępcy porobili genialne uniki, wystawili wszystkich do wiatru i chyba mają się dobrze. Bokser — rozrabiacz poszedł w ich ślady. Jak mawiał Zagłoba-Roch spłodził Rocha...

A to, że wszelakiego rodzaju afer w polskim sporcie będzie coraz więcej to rzecz normalna. Wszak i sport jest częścią naszego społecznego życia i podlega tym samym prawom socjologicznym co i „wesola” reszta.

W zasadzie felietonik ów powinien poświęcić dyscyplinie zwanej wyścigami psów. Ponure wydarzenia w Katowicach wykazały jednak, że naszej kulturze sportowej i nie tylko, daleko jeszcze do pasjonowania się wyścigami chartów. Na razie preferujemy trenowanie i tresurę owczarków niemieckich. Mamy Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami. Przydałoby się Towarzystwo Opieki nad Ludźmi. Tymi normalnymi, oczywiście.

JAN TRAWIŃSKI



Prawdopodobnie, kiedy te słowa ukażą się wydrukowane na ostatniej stronie „Opinii”, będziemy mieli już nowego prezydenta. Jedno jest pewne — nie będzie nim człowiek dotychczas przebywający w salonach Belwederu. Reszta jeszcze jest zagadką. Dla wszystkich, z wyjątkiem Lecha. On wie, dawno już wiedział, że Sala Pompejańska zostanie wypucowana właśnie dla niego. Że bukiety kwiatów na stylowych stołach zostaną ułożone też dla niego. Że oficerowie w belwederskiej bramie zasalutują właśnie jemu. Że policjant regulujący ruch samochodowy w pobliżu Belwederu, dla niego właśnie zatrzyma „sznur samochodów”. Bardzo to być może, jak mawiał ksiądz prefekt w przedwojennej klasie, i dodawał — „rybko, panie święty”.

Dictum acerbum

Klaps (prawie) filmowy

„Gazeta Wyborcza” drukuje, na dwóch kolumnach — ile dodatkowych reklam mogłoby się tam pomieścić! — wypowiedzi uczonych mężów na temat: „co by było, gdyby...?” Aż dziwi, że mądry, spokojny, sceptyczny, zrównoważony Ryszard Bugaj dał się na owo „gdybanie” skusić. Bo, że Aleksander Malchowski szeroko gdyba, nie dziwota.

„Polityka” drukuje wywiad z pretendentem — na trzeciej części kolumny, czyżby w redakcji już wiedzieli, że więcej nie warto. a może pretendent nie miał wiele do powiedzenia? — a tam, w co drugiej odpowiedzi skargi na niedouczonego dziennikarza i innych rozmówców, którzy nic tylko przekraczają słowa, zmieniają sensy, po prostu manipulują.

Nic to, dajmy sobie z tym spokój. Naprawdę nie jest aż tak bardzo ważne, kto zostanie prezydentem. Ważne jest natomiast, kto zostanie premierem, czy nie daj Panie Boże bliźniacy z „Centrum”? Bo czy naprawdę można uwierzyć pretendentowi, że gdy zostanie lokatorem Belwederu, każdemu każe wypłacić dwieście milionów złotych, by ów każdy natychmiast zaczął się kapitalizować i zarabiać wielkie pieniądze? A czy można uwierzyć drugiemu pretendentowi obiecującemu, jak niedługo Churhill, swemu narodowi (swym wyborcom!) „krew, pot i łzy”? Coż — temu drugiemu uwierzyć, niestety, można! Chęć osobiście wolałbym dwieście milionów na twarz.

Już niedługo wszystko będzie jasne — Belweder zostanie na nowo zasiedlony. Ostrzegam jedynie pewnego znanego artystę teatru i filmu, człowieka o światowym nazwisku, że jest w Belwederze kanapa, mebel poręczny, gdy trzeba, kogos, kto na to zasłuży, przełożyć przez kolano i wymierzyć mu klapsa. Jest, sam widziałem. Zresztą, nic strasznego, dawniej było gorzej. Gospodarz Belwederu, na którego pozycje pretendent przebywał w rzeźnym pałacu, „przy szablach”. Zawsze!

NOMENCLATOR

Stanisław Zieliński opisał manewry, jakie miały miejsce latem 1939 roku na Wileńszczyźnie. Jednym z ich założeń był oskrzydlający manewr ciężkich czołgów przeciwnika. Sęk w tym, że w armii polskiej takowych nie było. Wzięto zatem kompanię cyklistów, na rowerach których przyczepiono tabliczki z napisem „ciężki czołg”. Lato było upalne, drogi piaszczyste, więc „broń pancerna” zsiadła z rowerów i poszła spać do rowów, nie dojechawszy na miejsce. Następnie rozjemca manewrów w raporcie stwierdził, że „u nas na Wileńszczyźnie ciężki czołg nie przejął”.

To klasyczny przykład pozornie logicznego rozumowania. Pewien mój znajomy o mały włos nie pozabawił się telefonem. Uznał, że skoro 90 procent telefonów do niego i 90 procent połączeń wywoływanych przez niego to pomyłki — to abonament jest dlań zbędnym luksusem. Na szczęście żona go zmiotygowwała...

Telefon w Polsce, a telefon w krajach wysoko cywilizowanych to dwa zupełnie różne urządzenia. Weźmy takie automaty telefoniczne. Tam są wszędzie i z reguły czynne. U nas jest ich mało, stale się je likwiduje, z reguły są nie-

Nadzieje i rzeczywistość

Dzwonek dzwoni

czynne. Narodowym sportem Polaków stało się niszczenie automatów. A w dodatku do automatu publicznego w Polsce nie można się dodzwonić z przyczyn technicznych. Słowem, służą sobie a muzom.

Ministerstwo Łączności epatuje nas ilością abonentów, a w gruncie rzeczy ilością aparatów telefonicznych. To, że są one w większości niemal całkowicie nieprzydatne, a co najmniej nienowoczesne — o tym się już nie mówi. Telefon w Polsce nie spełnia funkcji wykonywanych na Zachodzie.

Ale też nie mamy czegoś, co można nazwać kulturą telefoniczną. W Niemczech czy w USA, we Francji czy w Japonii przez telefon można załatwić praktycznie wszystko. W Polsce można tylko poplotkować. Marzenia o czymś w rodzaju francuskiego systemu Minitel są równie realne jak polski lot na Marsa.

W trakcie kampanii wyborczej rozgorzała wielka dyskusja, czy my jesteśmy — czy też nie — Europejczykami. Większość Polaków jest przekonana, że tak, że nasze miejsce w Europie. Natomiast rzeczywici Europejczycy czują się w Polsce jak w afrykańskim buszu. Po prostu nie mogą się nigdzie dodzwonić, do czego są przyzwyczajeni. O ile jednak Europejczycy jadą do buszu, aby uciec od cywilizacji, o tyle do Polski przyjeżdżają głównie po to, by zorientować się czy można tu robić interesy. Kilka eksperymentów telefonicznych przekonuje ich — że jednak nie.

Roman Polański powiedział, że można robić film bez kamery, ale nie bez telefonu. Taki jest dzisiejszy świat i my do niego musimy się dostosować. Dzwoni dzwonek ostrzegawczy — uwaga! Trzeci Świat...

JACEK ŚWIDZIŃSKI

Opinie

TYGODNIK KONFEDERACJI POLSKI NIEPODLEGŁEJ „OPINIA”, Redaguje zespół. Redaktor naczelny — Krzysztof Król. Centrala 26-54-01 (w.: 266 — Z-ca red. nac.: 265, 26-66-34 — sekretarz redakcji). Adres: 00-920 Warszawa, ul. Nowy Świat 18/20. Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów. Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne w Ciechanowie. Zam. 79640